№ 7. Warszawa, dnia 5 (17) Lutego 1883 roku.

TYGODNIK MÓD
I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

JAROSŁAW VRCHLICKI

i jego tragedya

„DRAHOMIRA“.

Napisał

Zenon Przesmycki.

(Dalszy ciąg.)

W połowie aktu następuje zmiana. Akcya przenosi się na Tetin. Z rozmowy między Pawłem i Ludmiłą, okazuje się nie tylko niewinność tej ostatniej, lecz i wysoka jej dyplomacya względem silniejszych niemców:

Poselstwo miało na celu, aby *zgodnem słowem, mądrem pośrednictwem, zastrzeżeniami pokoju — rabusia ugłaskać.* Ludmiła idzie modlić się do kościoła, Paweł odchodzi do twierdzy. Wchodzi Drahomira, po krótkiem wahaniu, decyduje się ostatecznie i zabija Ludmiłę wychodzącą ze świątyni. Potem biegnie do dzieci, lecz spotyka się z Pawłem, który jej zwiastuje straszną dla niej nowinę, że obaj synowie jej udali się razem z poselstwem do cesarza Henryka. Drahomira przypomina sobie z rozpaczą rozkaz dany Wietruszowi:

Studnia w Kazinie przecież dość głęboka —
Och — wielkie bogi, zapewne już spełnił
Mój rozkaz Wietrusz, aż nazbyt ochotny.
Muszę tam biegnąć — natychmiast na Kazin,
Lub oszaleję — mózg czaszkę rozsadzi.

Paweł chce ją zatrzymać w niewoli, jako zabójczynię, lecz eskorta jej, siekierami wysadza bramę. Drahomira wybiega.

Akt piąty odbywa się w Kazinie. Zaciekły fanatyk-poganin Wietrusz wyraża szatańską swą radość, że może zemścić się za zniewagi wyrządzone jego bogom:

Jam dobrze wiedział, że Bolko i Wacław
Należą obaj do tego poselstwa,
Ale milczałem! . . . .
. . . .
O cieszcie się bogi,
Śmierć Bolesława i Wacława pierwszą
Jest krwi ofiarą, którą wam przynoszę!
Za wszystkie starcia, obelgi, zniewagi,
Zwalone bóstwa, poświęcone gaje
Wycięte ręką zbyt gorliwych chrześcian,
Szyderstwo Pawła, śmiech drwiący Ludmiły,
Dzisiaj poganin mści się!

Wchodzą więźniowie. Tu zaciekłość Wietrusza okazuje się w całej pełni; niedość mu już ich śmierci, pragnie jeszcze upoić się ich strachem, zamęczyć ich przed śmiercią. Rozwija przed nimi odrażający obraz studni, w którą mają być wrzuceni, lubuje się tem ohydnem opowiadaniem. Dość przytoczyć koniec:

Na samym dole — tam to towarzystwo —
Szkielety, które od wieków tam drzemią,
Ścisną was w swojem gnijącem objęciu
I zduszą was w tym grobowym uścisku!
No, dalej naprzód! niech wyrok się spełni!

Na jego nieszczęście — ta zbytnia zaciekłość popsuła mu całą sprawę; gdy pachołkowie chwytają więźniów, w bramie ukazuje się Drahomira. Następuje cudowna scena czułości macierzyńskiej. przerwana raptownie odgłosem hymnu żałobnego: „Panie zmiłuj się nad nami.“ Za sceną daje się słyszéć głos Pawła. Drahomirę uderza straszne przeczucie:

Znam ten głos! Znam go! O wielcy bogowie!
To Paweł! Dzieci, dzieci, nie słuchajcie,
Zasłońcie uszy! Bogowie na niebie,
Spuśćcie swe gromy! Wichry, rozpocznijcie
Swoje żałosne, posępne kwilenia,
Zagłuszcie jego złowieszcze krakanie,
On, wiedzcie dzieci — chce wam matkę zabrać!

Wchodzi Paweł. Za nim ludzie niosą na marach ciało Ludmiły. Bolesław i Wacław, na słowa Pawła, że Drahomira zabiła Ludmiłę, biegną od niej do trupa babki i nie chcą wracać pomimo jej zaklęć.

Paweł rozwiązuje wszystkich z przysięgi złożonej Drahomirze, jako księżnie. W tej chwili wchodzi Radsław; donosząc, że sejm, zwołany przezeń w Diewinie, składa władzę w ręce Wacława. Drahomira opuszczona przez wszystkich, zwraca się do Wietrusza:

Pójdź tu, Wietruszu, ty stary mój druhu!
(Wyciąga mu sztylet z za pasa.)
Na łonie twojem, pozwól, bym spoczęła,
Gdy mnie opuścił naród mój — i dzieci!
(Przebija się.)

Tragedya ta ma więc za tło, jeden z najważniejszych przełomów w życiu każdego narodu—a mianowicie epokę przejścia z jednej wiary na drugą.

Chwila ta nader ważna wywołuje najrozmaitsze typy i postacie: fanatyków tak z jednej, jak z drugiej strony, umiarkowanych i indyfferentystów. Wywołuje też mnóstwo mniej lub więcej groźnych kolizyi i starć, począwszy od tak tragicznych;

w jakie obfituje życie Drahomiry, aż do nieco śmiesznych, jakie widzimy pomiędzy wpół nawróconymi żupanami i księdzem Pawłem. Vrchlicki znakomicie podmalował tło w Drahomirze, nadał każdej postaci odpowiednią barwę i wybornie oddał tak najtragiczniejsze chwile, jak i śmieszne, łagodzące nieco ponurą całość obrazu. W kilku słowach wyrzeczonych przez którąbądź osobę rysuje się niejako cały jej charakter. Osoby tak mało mówiące, jak Wacław i Bolesław, jak Przech, Diedousz i Diwisz — żupani, rysują się jednak w naszych oczach zupełnie jasno. Wacław jest dzieckiem bardzo religijnem, z innych względów bojaźliwy, co się tycze religii okazuje wielką moc charakteru. Bolesław — przeciwnie — nie ma tej subtelności uczucia co Wacław, lecz za to jest odważniejszy i bardziej stanowczy. Gdy Drahomira wyścignąwszy Pawła, wpada do Kazina, Bolesław wita ją serdecznie o nic nie pytając:

O droga matko, dobrze, że tu jesteś! Jemu dość tego, że matka jest przy nim, jego nic nie obchodzi; przeciwnie Wacław wie, że religia chrześciańska potępia wojny i boje i dlatego powitawszy matkę, pyta natychmiast:

Ah, na co ta walka,
O matko, powiedz, gdzie jest nasza babka?
. . . .
Czyż zgodnie nie można
Skończyć wszystkiego? Ah, na co ta walka,
Na co ten rozlew krwi? i t. d.

I pyta tak natarczywie, nie zważając na radość matki, że aż zmusza ją odpowiedzieć:

Po co te pytania?
To wszystko stało się przez miłość dla was!

Za to gdy Wietrusz każe ich wrzucić do studni, Bolesław grozi mu:

Ty oszalałeś, starcze! To nie może
Być rozkaz księżny! Nienawiścią pjany
Działasz jak waryat — sam na swoją rękę,
Lecz sprobój działać tak, jakbyś nas nie znał!

Wacław tylko prosi:

Dobry Wietruszu, zmiłuj się nad nami,
Poczekaj nieco — możeś się przesłyszał.
To niepodobna, co mówisz o matce.

Nie wiedząc, można by twierdzić na pewno, że Wacław będzie chrześcianinem lub świętym zostanie, Bolesław zaś dzielnym wojownikiem, lecz nie bardzo czułym pod względem moralności.

Toż samo — Diwisz, Diedousz i Przech. Raz tylko przemawiają, a jednak sposób myślenia, charakter każdego z nich jest nam całkiem jasny. Diwisz to szczery, otwarty starzec, poganin z nawyknienia tylko. Jemu nie o to chodzi, aby zostać poganinem, on przeszedłby na chrześcianizm, ale tak zrosł się już z temi zwyczajami, przesądami i zabobonami pogańskiemi, że nie mógłby usnąć nie oddawszy pokłonu ognisku. Przeciwnie, Diedousz i Przech to poganie, którzy tylko dla pozyskania względów księcia przyjęli wiarę chrześciańską, lecz w duszy nie wyrzekli się swoich przekonań i potajemnie odprawiają pogańskie praktyki, wypierając się tego jednak, gdy ich kto zagadnie.

Na tak wspaniale podmalowanem tle figur drugoplanowych, tem posągowiej rysują się główne postacie Drahomiry, Ludmiły, Wietrusza i Radsława.

Drahomira u Vrchlickiego staje się osobistością pełną jakiejś demonicznej energii, z którą walczy nie przebierając w środkach — z chrześcianizmem z jednej i z możnowładztwem z drugiej strony. Pochodząc z ziemi Lutyków, z okolic dziewięciobramnej Retry i „głównego gniazda bałwochwalstwa" Arkony (na wyspie Rugii) głęboko była przywiązana do wiary ojców swoich. Przybywszy do Czech, kraju na wpół już chrześciańskiego, byłaby może powoli przywykła do nowej religii, gdyby nie zbyt gwałtowne środki, przedsięwzięte przeciwko bałwochwalstwu przez Ludmiłę. Ciosy, któremi rąbano gaj święty zbudziły ją, z wściekłością rzuciła wyzwanie „opraw-com", burzącym kontyny i posągi Świantowita i wszczął się bój. Lecz zarazem oburzała ją zbytnia duma i pewność siebie panów czeskich, rozrywających kraj na mnóstwo niezawistnych małych państewek i myślących, jak jej się zdawało, tylko o swoim zysku i korzyści. Postanowiła za jednym zamachem zniszczyć chrześciaństwo i zgnieść hydrę możnowładztwa.

Zamiar olbrzymi, okazujący całą potęgę ducha, który go mógł powziąć. Lecz odrazu daje się spostrzedz, że zadanie to zbyt ciężkie na słabe barki kobiety, że ciężar ten gniecie ją i ta właśnie pewność, że wszystkie jej najszaleńsze wysiłki, wszystkie najlepiej pomyślane plany, cała potęga jej charakteru na nic się nie przyda, nadaje postaci jej jakiś rozpaczny, tragiczny odcień.

Chcieć a nie módz, czuć siły kipiące w sobie i widzieć je rozbijające się o nieporuszoną zawadę a do tego być opuszczonym przez tych, których najbardziej kochamy, dla których wszystko robimy, dla których nawet zbrodnię popełnić jesteśmy gotowi, o to boleść okropna, to rozpacz, która może doprowadzić do samobójstwa. Drahomira dochodzi właśnie do tego. Dumna, ambitna, ma jednak na celu dobro kraju, które przeważyć może chyba tylko miłość dla dzieci, miłość szalona, nieposkromiona, dzika — jak i cały jej charakter. Spotykają ją dwa zawody: dzieci przerażone morderstwem spełnionem na babce, odwracają się od niej; to ją porusza do głębi, przygniata ją do tego stopnia, że zapomina o swej godności, poczyna błagać:

Wy nie idziecie, wahacie się? Bogi!
Jam to zrobiła wszystko dla was — o nie!
Wszak wy przyjdziecie! czemże ona dla was?
Tylko wydarła was sercu mojemu!

Zwraca się do ludu:

O! wielkie bogi! któż jeszcze ma serce?
. . . .
O! podźwignijcież się, bądźcież choć ludźmi!
O! patrzcie na mnie, jak na matkę biedną,
Jak na kobietę prostą, która w bólach
Zrodziła dzieci swoje, mlekiem własnem
Je wykarmiła, wiecznie drżała o nie...
. . . .
Jako na matkę biedną, opuszczoną,
Której najdroższe zabierają skarby!

Wszyscy milczą. Wtedy stara się otrząsnąć ze słabości, duma dodaje jej siły, chce myśleć już tylko o kraju, oskarża głośno martwą Ludmiłę o zdradę, przyznaje się otwarcie do morderstwa uważając je za sprawiedliwą karę zdrajców:

Mnie dzieci moje nie chcą znać za czyn ten,
Którym zbawiłam ojczyznę! — W mąk otchłań
Wtrąca mnie ta ich zimna obojętność!
Co pozostaje mi? Kończyć swe dzieło,
Być księżną — skoro matką być nie mogę!

Łatwo pojąć, ile ją kosztuje to wyrzeczenie się macierzyństwa, ale w tej chwili spotyka ją drugi, jeszcze może straszniejszy zawód. Ona wyrzekła się dzieci dla narodu, a tutaj naród przez usta wojewody Radsława odrzuca ją, uznaje ją za niezdatną do rządów i oddaje władzę w ręce Wacława. To dopełnia miary. Na co jej życie, gdy ją „opuścił naród i dzieci"?

Z pogardą rzuca swym przeciwnikom pod nogi to życie, które oni zniszczyli. Po tylu zawodach, przez dzieci własne porzucona, zdradzona, idzie do swoich bogów na spoczynek i umiera ze słowami:

O Świantowicie... ty mnie nie zawiedziesz!

Postać głęboko tragiczna, posągowa, a zarazem pełna prawdy psychologicznej.

Gdyby nie okoliczności, Drahomira poszłaby inną drogą i przy swej energii i innych zaletach wiele dobrego mogłaby zrobić dla kraju. Tak zaś, rozdrażniona oporem, doszła do ostateczności i została zaciekłą poganką i zupełną despotką, a przytem nieszczęśliwą matką.

Ludmiła to znów postać nie gorzej wystudyowana, chociaż daleko mniej interesująca psychologicznie. Ludmiła jest głównie chrześcianką, dla wiary swej wszystko poświęcić gotowa. Historya okazuje nam ją, że nawet z Niemcami związać się była gotowa, zaprzedać im kraj swój, aby tylko umocnić w nim chrześciaństwo. Ona więcej ważyła zbawienie wieczne niźli ziemskie szczęście. Vrchlicki popełnia w tej postaci maleńką niekonsekwencyą, chce dowieść, że taki ultra-chrześcianizm jak Ludmiły, nie wyklucza jednak innych uczuć, jak np. miłości dla kraju. Ludmiła Vrchlickiego nie chciała zaprzedać kraju Niemcom; przedstawia ją raczej, jako głęboką dyplomatkę, daleko zręczniej chodzącą około spraw państwa, niźli Drahomira. Ta ostatnia nie liczy się z siłami, gotowa z całem szaleństwem i nieopatrznością wydać bój dziesięćkroć silniejszym Niemcom; Ludmiła zapatruje się na to daleko oględniej: wiedząc, że nie przemoże Niemców w otwartem polu, pragnie „zgodnem słowem, mądrem pośrednictwem, zastrzeżeniami pokoju rabusia ugłaskać." Lecz tu właśnie wychodzi na jaw niekonsekwencya w przeprowadzeniu jej charakteru. Dlaczego Ludmiła, będąc tak głęboką dyplomatką względem Niemców, nie była nią bynajmniej względem Drahomiry? Toć przecie łatwo jej było zrozumieć, że z naturą gwałtowną, dziką, nieposkromioną, można dojść do czegoś chyba tylko łagodnością?

Dlaczegóż nie starała się powoli przekonać Drahomiry, lecz ostro wyrzucała jej błędy i urojenia? Dlaczego tak gwałtownie kazała rąbać gaje święte, burzyć kontyny i bożyszcza? A potem, dlaczego sama znosiła się z cesarzem Henrykiem? Należało starać się nakłonić Drahomirę do tego, znosząc się z wrogiem kraju bez wiedzy panującego narażała się oczywiście na zarzut zdrady i przy znanej gwałtowności Drahomiry, na śmierć

pewną. Błąd ten w charakterze jest zasadniczy, postać Ludmiły staje się przezeń niezrozumiałą, niejasną, nie odbija się w tak posągowych kształtach, jak olbrzymia, górująca nad wszystkiem postać Drahomiry.

(*D. n.*)

Marzenie.

Ludzie mi mówią w koło, że marzenie,
To duch bez czynu, albo niemoc ducha,
Że to zdwojone trucizną cierpienie,
Grzech samobójstwa!
Że kto marzeń słucha
I marzeniami żyje, ten Ikara
Ma tylko skrzydła, a orlemi loty
Nie wzleci nigdy — i tylko jak mara
Wciąż będzie błądzić, bo go swemi sploty
Pajęcze włókna z marzenia utkane
W krąg otoczyły — a że one cudne,
Jasne, słoneczne i niebem ułudne,
Nie czujesz kajdan, choć dłonie związane.
— Czy jednak prawdę mówią owi ludzie?
Czy oni kiedy tacy biedni byli,
By im, po latach w męczeństwie i trudzie
Po długich latach, w których łzami żyli
Nic nie zostało?... prócz jednej — jedynej,
Marzeniem zwanej, nitki pajęczyny...

Ewelina.

ODWET.

KARTKA Z ŻYCIA

przez

E. ZORJANA.

I.

— At pleciesz!

— Wcale nie plotę. Prawda jasna jak słońce, przypatrz się tylko życiu, a przekonasz się, że mam słuszność — mówił, wygodnie rozpierając się w fotelu dwudziestopięcioletni młodzieniec.

— Nie, nie, mój Wacku—odpowiedział drugi—powiedz, że tak często się zdarza, zgoda, lecz żeby to prawo miało być ogólne, lub nawet tylko większą część wypadków obejmowało na to się nie piszę.

— Pisz się, albo nie, to mi obojętne — rzucił zwolna Wacław, bawiąc się puszczaniem kółek wonnego dymu. — Zdania mego nie zmienię. Miłość taka, jaką wy idealizujecie nie istnieje wcale. Kochać się mogą tylko bogaci i wolni, bo miłość w życiu to zachcianka; jeżeli potrafisz jej dogodzić to dobrze, jeśli chcesz walczyć, przepadłeś. Jako idea potrzebuje szaty uchwytnej, na pojęcia jakieś oderwane, abstrakcyjne nie godzi się przecież nikt; a szata ta musi być piękna, rozkoszna. Trzeba być zupełnie swobodnym, aby się temu uczuciu poddać jak rozrywce, trzeba mu dogadzać, ozdabiać kwiatami i brylantami. Jakżesz mógłbyś się kochać mając dzieci, cały zajęty pracą, troskami, zmuszony zawsze i ciągle tylko myśléć o tem, co jutro jeść będziesz i czy co wogóle do jedzenia będziesz miał.

— Wpadasz w ekstrema. Nie mówimy wcale o tych, którzy z głodu giną, lecz nie racya wcale, ażeby jednoczyć koniecznie miłość ze zbytkiem.

— Niech ci się tak zdaje, ja obstaję przy mojem. W chwili, w której zaczniesz się rachować, miłość ucieka. Masz na wszystkie zachcianki, kochaj się, będziesz pewno kochany, znam dobrze nas i kobiety.

— To byłoby okropne — wtrącił teraz milczący dotąd blondyn.

— Ba! okropne, czy nie, ale prawdziwe — odpowiedział najobojętniej Wacław.

— Wiesz—odparł mu tamten na to po chwili—że ci tych zapatrywań wcale nie zazdroszczę, wątpię żebyś z niemi mógł być szczęśliwy.

— Jak długo mam pieniądze, tak długo jestem szczęśliwy. Ty Bolesławie nie mogłeś dotąd poznać tego szczęścia, jakie bogactwo daje. Może wam, którzy żyjecie w nieświadomości lepiej nawet, może wyście nawet szczęśliwsi, ja przyznam ci się, nudzę się czasem.

Bolesław milczał cały pogrążony w myślach. Biedny był, a jednak z myślą o szczęściu nie chciał się pożegnać. Przeciwnie, marzył o szczęściu, a ono przeoblekało się w tych marzeniach prawie zawsze w szatę miłości. Jakto, więc gdyby zdanie Wacława było prawdziwe, on nie miałby nigdy kochać, nigdy być kochanym? O, nie, to nie mogłoby być; kto wie może biedny chłopak miał już wybrany przedmiot marzeń i uwielbień, w który wierzył, którego miłości pragnął. A tu, w gronie towarzyszy młodości, spędzonej na ławach szkolnych, takie straszne usłyszał zdanie.

— To byłoby okropne — pomyślał, błądząc w krainie fantazyi, a myśl ta zdradziła się półszeptem słowami.

Wacław śmiał się głośno.

— Coś bardzo się przeląkłeś — zawołał — widocznie młody marzycielu, idealisto pragniesz względów amorka, bardzo musisz pragnąć, skoro się tak zadumałeś, jak wódz nad przegraną bitwą.

Uwaga ta również nie była Bolesławowi przyjemną. Wogóle duszno mu było w tym kawalerskim saloniku, gdzie zbytek z każdego widniał przedmiotu. Gospodarz, choć niegdyś kolega szkolny i zawsze dla Bolesława życzliwy, był bogaty, a bardziej jeszcze rozrzutny, drugi jego towarzysz należał także do tych, których w szkołach „paniczami” nazywano. Obaj dobrzy byli, nic im Bolesław nie mógł zarzucić, ale dziś to nie towarzysze dla niego, co musiał ciężko pracować na życie i jak sam się przyznawał, biedę klepał. Wacławowi się nie narzucał, rozumiał, że koleżeństwo szkolne nie zwykło dawać prawa do zażyłości później, gdy rozmaitość warunków życia rozdziela prawie zawsze. A choć Wacław nie należał do tych, co to lubią zapominać o dawnych towarzyszach, to jednak myśl, że mógłby być posądzonym o narzucanie się, trzymała Bolesława od niego zdala. Bo zresztą i o czemżeby mówili przy częstszem widywaniu? Sfery w których żył Wacław były obce Bolesławowi, Wacław znów nie znał, nie rozumiał nawet życia mozolnego, jakie przypadło w udziale Bolesławowi.

Ot dziś naprzykład spotkali się obaj na ulicy, Wacław pozdrowił kolegę serdecznie i musem prawie zabrał go do siebie. Bawili razem zaledwie pół godziny, a Bolesławowi nieswojsko jakoś było wśród tych wykwintnych sprzętów, do których nie przywykł i zdania wygłaszane przez dawnego towarzysza nauk nie tylko, że nie licowały z jego przekonaniami, ale nawet przykrość mu sprawiały. Bo i jakże można było tak rozbijać młodzieńcze marzenia, ideały, o złoto, którego biedny chłopiec nie miał, nawet nie spodziewał się nigdy zdobyć, bo go nie szukał, za nim nie gonił. A nie szukając szczęścia w bogactwie był pewny, że je znajdzie w miłości, że ona da mu poznać raj, o którym już marzył. Nie śmiał się przyznać swoim towarzyszom, że on, biedny, bardziej może biedny niżby im się zdawało, ośmielił się wbrew twierdzeniu Wacława kochać i w tem kochaniu upatrywał jedyne prawdziwe szczęście. Jakże to było o tem mówić, gdy Wacław odmawiał prawa kochania się biednym i utrzymywał, że kobieta biednego nawet kochać nie będzie. O, to ostatnie bolało go prawdziwie, dotykało tej, w której miłość wierzył, był o niej przekonany.

— Nie zdaje ci się, żebym miał słuszność — mówił teraz Wacław do Bolesława zwracając się—ty pewno wierzysz jeszcze w miłość idealną, co to woli we dwoje ubogą chatkę, niż w rozłące pałace...

— Cha, cha — śmiał się ironicznie — jacy ci marzyciele wyborni, im się zdaje, że ludzie zakochani nie potrzebują jeść ani pić, a marząc wciąż o tej idylicznej chatce zapominają, że dziś nawet od takiego przybytku miłości płaci się podatek.

Podobał sobie sam w tym dowcipie i śmiał się jeszcze głośniej, a patrząc na zamyślonego Bolesława dodał:

— Może cię teraz rozumiem, pewno się kochasz w jakiej ubogiej dziewczynie i marzysz o szczęściu zobopólnem. Ha, jeźli cię to uszczęśliwia i owszem, ja bym ci tylko rad oszczędzić złudzenia i gorszego jeszcze rozczarowania. Żyłem trochę i byłem nie raz już kochany. Kierowałem się sprytem i rzucałem zwykle pierwszy, ale to wiem na pewno, że odbić kochankę można. Kto ma więcej ten lepszy. O zakład poszedłbym, że i tobie potrafiłbym takiego figla wypłatać, jak innym. Byle nie być bardzo brzydkim, olśnić zbytkiem i bogactwem, a...

— Zbyt lekko sądzisz — przerwał mu Bolesław.—W jednej, zamkniętej żyjąc sferze, w której widocznie ta moneta popłaca, nie uznajesz serca ni uczucia. Albo kobiet wcale nie znasz, albo je lekceważysz i ubliżasz twym sądem.

— Doskonały jesteś — odparł Wacław z nieustającym uśmiechem. — Proszę cię o zakład, zabiorę ci bogdankę, a dam nauczkę życia i znajomości ludzi...

— Jeżeli już pomiatasz sercem i odmawiasz nam uczucia, zostawże nam godność i nie zapominaj, że i my ją mamy — podniósł głos Bolesław.

— Dajmy temu pokój — odezwał się dotąd milczący towarzysz, a zwracając się do Bolesława dodał — nie gniewajże się. Znasz Wacka dobrze. Zawsze ten sam próżniak, który z nudów niestworzone rzeczy wygaduje i to, co dziś powie na żart gotów dla fantazyi chcieć, zmienić w rzeczywistość. Nie jego zresztą wina, że mu się zawsze udaje, a skoro sam się przyznaje, że wszystko zawdzięcza tylko pieniądzom, a nie sobie, to zostaw mu to przekonanie, jeśliś złośliwy wierz, że tak jest.

Wacław zdawał się tonąć w błękicie wonnego dymu i można było sądzić, że prócz tego pysznego cygara nie istnieje dla niego nic na świecie. Jakby bezmyślnie zanucił coś niby z opery, niby własnej kompozycyi:

„Pieniądz tylko jest chimerą,
Luba sprzedaj serce mi...”

— Widzisz, jak tekst przerabia. Tylko, mój drogi Wacławie, zdaje mi się, że ty grubo przepłacasz, boję się, ażeby cię bankructwo niespodzianie nie zaskoczyło.

— Jakie bankructwo? — zapytał niedbale Wacław.

— Czyż ty rozumiesz inne, prócz materyalnego?

— Materyalne, tak masz racyą, o to nie trudno. Niestety — dodał z westchnieniem — nie jestem milionerem.

— Widzisz — odezwał się teraz Bolesław, który uważnie przysłuchiwał się rozmowie swych towarzyszy — bankructwo o którem Karol mówi, wtedy tylko jest istotnem bankructwem, gdy kto życie z pieniądzmi tak dalece zespala, iż nie pojmuje go wcale w chwili utraty majątku.

— Takim ja jestem, przyznaję — odpowiedział Wacław.

— Jakto? — zapytał Bolesław seryo.

— W dniu bankructwa palnąłbym sobie w łeb— odparł z najzimniejszą krwią Wacław.

— Ah! — zawołał Bolesław.

— Prawda, to tobie wydaje się zbrodnią — mówił Wacław z ironią — lecz cóżbyś ty mi lepszego poradził?

— Praca — szepnął, jakby do siebie Bolesław.

— Cha, cha, cha... dobryś, ja i praca. Ależ to znaczyłoby zaprządz się umyślnie do wozu nieszczęścia, a ja życie tylko w szczęściu pojmuję.

— Kupionem — wtrącił Bolesław.

— Jak sobie zechcesz. Szczęście jest zawsze szczęściem bez względu na to jaką drogą się do niego dochodzi.

— I bardzo ty jesteś szczęśliwym?

— No, jak na człowieka, który wszystko kupuje — wtrącił Karol.

Wacław spojrzał na obu.

— Ale cóż u licha wy mnie bierzecie na morały! Jeszcze mam dość, więc nie ma potrzeby myśléć przedwcześnie o końcu. Gdyby katastrofa nastąpiła...

— Czy ty wątpisz o tem? — zapytał Karol.

— Wątpisz czy nie wątpisz, nie o tem mowa — ciągnął Wacław dalej, zwracając się teraz do Bolesława — to tylko pewna, mój marzycielu, że sobie w łeb palnę i koniec!

Nastąpiła chwila milczenia. Każdy zdawał się myśléć o czem innem. Karol myślał zawsze o sobie. Przywykł już do sposobu mówienia Wacława, znał go dobrze, wiedział, że to co mówił mogło nastąpić. Ale co tam się troszczyć przyszłością i to obcą do tego!

Wacław nie myślał podobno o tem wcale co mówił. To jego była oryginalność. Był ironiczny, drwił i szydził ze wszystkiego, a z resztą czy był w istocie cynikiem, czy tylko takiego udawał trudno było odgadnąć.

Jeden tylko nad tem zamyślił się Bolesław. Dla niego to było bardzo przykre. Teraz jeszcze duszniej mu było w tym pokoju. Pragnął powietrza, wolnego, świeżego oddechu.

— Przepraszam was najmocniej, czasu mam tak mało, a pracy zawsze tak wiele, że trudno dłużej pozostać.

— Idź pracuj, a mów o szczęściu, może ci się uda samego siebie oszukać — odezwał się żegnając Wacław.

— Alboś ty taki niepoprawny, albo takiego udajesz — odpowiedział Bolesław.

— Jak ci się zdaje!

— Chciałbym wierzyć żeś lepszy, jak sam się malujesz.

— Wierz, a gdyby cię ta wiara częściej mogła do mnie przynieść to cieszyłbym się bardzo — dodał ściskając podaną dłoń.

— Widzisz — odezwał się po wyjściu Bolesława Wacław do pozostałego towarzysza — tacy ludzie jeszcze są na świecie. Karmią się ideałami, wyglądają z tem lepiej jak my, którzy się rujnujemy na jedzenie i picie, a nam stają tylko zaporą.

— W czemże tobie tacy mogą być zaporą?

— Jakto w czem? — zawołał niby z zajęciem Wacław — szerzą swe chorobliwe pojęcia, swojem istnieniem chcą zadać kłam naszym teoryom, słowem tamują prawdziwy rozwój życia...

— Czy ty drwisz z samego siebie, czy chcesz mnie wziąć na kawał? — zapytał Karol.

— Gdybym cię nie znał — dodał — to gotówbym uwierzyć twym słowom. Nie trudź się, dla mnie ta komedya na nic się nie zda. Znam cię na wylot, jesteś wart sto razy więcej, jak się sam cenisz...

— Bez komplimentów, proszę bardzo.

— No, więc ci przyznam, żeś nic nie wart.

— Tak, to dobrze.

— Ale pozwól, że ci jedną zaletę, czy talent muszę przyznać.

— Ciekawym.

— Grasz rolę cynika z takiem przejęciem się, że sam temu wierzysz, iż to rzeczywistość, a nie komedya.

Wacław śmiał się teraz szczerze.

— Cóż robić, trzeba się bawić jak można. Mnie nudzi świat z swymi ludźmi manekinowatymi, szukam czegoś oryginalniejszego.

— Udaje ci się dość dobrze.

— To mnie cieszy.

— Pozwól wszakże, że ci zrobię uwagę co do twego przyszłego bankructwa.

— Ale nudny jesteś z uwagami twojemi, wyglądasz, jakbyś się zapatrzył na Bolesława.

Zmienili przedmiot rozmowy, a że żyli w tej samej sferze, tego samego świata, więc im tematu nie brakło.

Wieczór już był, kiedy Wacław wpół zdania przerwał Karolowi.

— Wynoś się teraz do domu, czas się ubierać do Tyszkowskich.

— Byłbym na wieki zapomniał.

— Ja zawsze muszę za was wszystkich pamiętać i myśléć, oj młodzież to, młodzież — mówił śmiejąc się.

— Ale, ale, mój Wacku kochany, nie mógłbyś mi pożyczyć pięćdziesięciu reńskich?

— Proszę cię, owszem — odpowiedział i w tej chwili pospieszył do swego pokoju. Otworzył szufladę biurka i jakby to rzecz była najpilniejsza w świecie powrócił do saloniku.

— Nie gniewaj się, że ci dotąd tamtych nie oddałem mówił Karol, tłomacząc się.

— Ale dajże spokój, nudny zresztą jesteś, wynoś się.

Pożegnali się słowem:

— Do widzenia na wieczorze.

Wacław został sam. Spojrzał na zegarek i jakby nie wiedząc co z czasem zrobić rzucił się na otomanę, puszczając kłęby dymu, który błękitnym obłokiem otaczał zwolna najbliższe przedmioty.

Teraz coś więcej o Wacławie.

Powiedzieliśmy już, że miał lat dwadzieścia i pięć. Ochrzczono go Wacławem, po ojcu wziął nazwisko Juściński i herb Ślepowron. Nie lekceważył tego nigdy, chętnie pieczętował się herbem, ale równie jak tę spuściznę, cenił i drugą, która wraz z wertheimerką, przeszła na jego własność. Ojciec miał wieś ładną, dobrze zagospodarowaną i trudnoby wytłomaczyć dlaczego przy końcu życia ją sprzedał, gotówkę złożył w kasie i przeniósł się na stałe mieszkanie do miasta. Złośliwi mówili, że nieboszczyk był całe życie pod pantoflem; zahukany i nieustannie tyranizowany był prawdziwym niewolnikiem żony. Nie pozostawało mu nic innego, jak gospodarka, której też całą oddał się duszą. Nie dziw, że mu się praca wiodła, ale też życie nudne było bardzo i bezbarwne. Nawet od obowiązków i praw ojcowskich był stanowczo odsunięty. Matka wychowywała jedynaka sama, a znowuż złośliwi mówili, że jedynak jest rozpuszczony i nic z niego nie będzie.

Nagle zmieniło się wszystko. Żona umarła, a mąż odzyskał całą wolność, o której tak często przy fajce marzył. Jak student uwolniony z karbów szkolnego rygoru, zapragnął użyć trochę światu. Rzucił gospodarkę, pojechał do stolicy i niebawem pozbył się zupełnie kłopotu, swojej wioski, aby się niczem nie troszczyć, wolnym, swobodnym być zupełnie.

Syn miał już lat dwadzieścia trzy, życia zakosztował może i więcej jak ojciec, więc cóż dziwnego, że sobie wzajemnie nie przeszkadzali, przeciwnie, ojciec uczył się wiele od syna. Mieszkali w stolicy, żyli wesoło i troska nigdy nie osiadła na ich czole.

Ale ojcu nie było sądzono długo używać swobody i życia. Jakoś w siedm czy ośm miesięcy po śmierci żony i on za nią podążył, a ci co go znali szeptali sobie na ucho, że to już taki jego los, być zawsze przy żonie i zawsze pod pantoflem.

Wacław został sam. Kilka zaledwie miesięcy brakowało mu do pełnoletności. Opiekunem dla formy był tymczasowo stryj rodzony. Człowiek to był majętny, surowy, który rodzinę mało znał, bo cały zagrzebał się na wsi i nie troszczył się o nią wiele, bo jak mówiono skąpy był trochę, a grosza chciał gospodarując wiele przysporzyć.

Przyjechał po śmierci brata do Lwowa, zabawił niedługo, bo i nic do roboty tu nie miał.

— Opiekuna ci już nie trzeba—mówił do Wacława — boś już i tak nie mało żył na własną rękę. Pieniądze masz w gotówce, a jak sobie z nimi począć tośtakże powinien wiedziéć. Nieboszczyk ojciec, świeć Panie nad jego duszą, także głupstwo kapitalne palnął sprzedając wieś i to taką wieś. Pieniądze dyabli wezmą, bo panicz puszczać lubi, ot zwyczajnie maminek, a potem, to z próżnego nie naleje. Ale co ja tam mam gadać na wiatr, chcesz mojej rady, to jedź ze mną na wieś, poducz się gospodarki, a potem się coś upatrzy i kupi znowu ziemię.

Wacław nie bardzo rad słuchał.

— Widzę, kręcisz się jak oparzony, prawda ci się nie podoba, do pracy przyłożyć rękę ani się śni. Ha, rób co chcesz, jak chcesz, abyś nie poszedł kiedyś z torbami. Ja tam tego nie biorę na moje sumienie.

Ot, taka była cała opieka stryja. Mógłby go kto o obojętność posądzić, lecz przypatrzywszy się stosunkom dobrze, trzeba było przyznać racyę. Znał on bratanka dobrze, wiedział, że słowa inne byłyby grochem rzucanym o ścianę. Prawa nie miał, a na powagę krewnego liczyć nie mógł. Człowiek to był prosty, ale świat znał dobrze i darmo słów tracić nie lubiał.

Tak został Wacław samoistnym, a że grosza mu nie brakło, że nie potrzebował nikomu zda-

wać sprawy ni z czynów ni z wydatków, więc bez przeszkody pędził przez życie prędko, bardzo prędko.

W rok przeszło po śmierci ojca, w chwili w której go poznaliśmy, zaszargał już fortunę dobrze. Ale był wesół, bawił się doskonale, był wszędzie pożądanym gościem, ulubieńcem młodzieży, słowem szczęśliwym był zupełnie. Wiele o nim mówiono, ale nikt nie powiedziałby, że był złym. Jedni zarzucali mu lekkomyślność i zbyt płoche prowadzenie się, inni rozrzutność i nadto pańskie fantazye i zachcianki, ale każdy dodawał, to dobry chłopak. Tak nawet mówili koledzy i znajomi, w których gronie zaczynał od pewnego czasu udawać cynika. Nie wiele na to zwracali uwagi, a lubieli go wszyscy. Bo też był dla nich serdeczny i uczynny, a że nie wielu było tak samoistnych, że żaden prawie nie miał takiej kasy, jak on, więc też nie rzadko uciekali się do jego dobroci.

Takim był w towarzystwie męzkiem. Kobietom podobał się bardzo. Był co prawda przystojnym i obok żywości temperamentu miał wyraz szlachetności i męstwa, co zawsze kobietom się podoba. Cera biała, choć nie wychuchana, włos czarny, zawsze wedle najnowszej mody zaczesany, wąs spory okalał usta, którym uśmiech nieustannie goszczący wiele dodawał powabu. Słuszny był i postawę miał bardzo dobrze ułożoną, słowem w szeregu najdzielniejszej młodzieży on jeszcze mógł na siebie zwrócić uwagę. A cóż dopiero mówić o galanteryi, którą miał sobie za punkt honoru. Prześcignąć się w grzeczności dla dam nie dał by się za nic w świecie. To też był wszędzie bardzo mile widzianym, a już bez niego to i trudno było pojąć zabawę.

Takim był Wacław, takiem życie jego.

Od dnia w którym go poznaliśmy rok upłynął, a przyniósł z sobą wielkie zmiany.

Życie wypisało się bardzo widocznie na twarzy przedtem bardzo świeżej i młodzieńczej. Uśmiech który dawniej okraszał usta, dziś krzywił je sarkazmem, a dwa silne rysy zaznaczyły się na policzkach i brużdżąc jakby cień wąsa, spływały ku brodzie z wyrazem przesytu.

Gdyby teraz zapytać otaczających go o zdanie, pewno nie wielu powiedziałoby, jak niegdyś, że dobrym jest i miłym. A bodaj czy nie zawiniła tu wiele, może najwięcej kasa. Okazały się w niej teraz przerażające pustki, a natomiast w rękach wierzycieli bardzo wiele było weksli z podpisem Wacława. Dziś już trudno się było u niego zapomódz; grać lubił zawsze, ale kieszeń nie zawsze dopisywała.

Jeżeli przesyt życia zdarł dawną krasę z twarzy, to zupełna ruina i nie obawa już, ale zupełna pewność, że dziś lub jutro zobaczy się na bruku bez dachu i chleba, rzucały na nią cień posępny.

(*D. c. n.*)

Przegląd Teatralny.

Kto winniejszy, komedya w 3-ch aktach *Zofii Mellerowej*.
Sto tysięcy, komedya w 1-ym akcie *Leona Madejskiego*.

Pani Mellerowej, jako autorce dramatycznej nie szczędzono pochwał. Kilka jej utworów granych w ostatnich czasach zdobyło jej uznanie krytyki i serdeczny poklask publiczności. To też z niemałą ciekawością wyczekiwano na ukazanie się jej najnowszego utworu, który autorka zatytułowała. „Kto winniejszy".

Jest to komedya, a raczej coś w tym rodzaju, co obecnie estetycy i autorowie dramatyczni nazwali „sztuką". Utwory tego rodzaju zajmują miejsce pośrednie pomiędzy komedyą a dramatem. Mieszczą się więc w nich sceny wysoce dramatyczne obok innych, pełnych humoru, w każdym razie przedmiotem „sztuki" musi być przedmiot ważny.

Pod tym też względem nie można pani Mellerowej zrobić zarzutu. Obrała ona sobie przedmiot istotnej i bardzo wielkiej wagi. Autorka postanowiła, jak sam tytuł po części powiada, postawić pytanie: kto w upadku kobiety winniejszy, mężczyzna czy kobieta? Przedmiot co prawda drażliwy, ale nie mniej przeto ważny i podjęty bardzo w porę. O moralności rozprawiamy często i wiele, a zawsze kończymy na tem, że aby usunąć niemoralność, trzeba koniecznie dojść do źródła, z którego wypływa. Tam dopiero można położyć tamę, która społeczeństwa będzie broniła od złego. Ale czy to tak łatwo odnaleźć źródła złego?

W każdym razie żądamy od autora, ażeby zanim przystąpi do napisania dzieła, zdał sobie sprawę jasno ze swych intencyi. Jeżeli kto to autor musi wiedzieć dokładnie do czego dąży. Musi więc najwyraźniej wskazać złe jako kontrast postawić dobre, a tak cieniem i światłem wywołać plastykę obrazu do rzeczywistego życia zbliżonego. Kiedy więc autorka ma napisać sztukę: „Kto winniejszy" w sprawie upadku kobiety, powinna sama w sobie wyrobić zdanie, czy mężczyzna, czy kobieta? Potem dopiero wolno zabrać się do pracy która powinna być tak przeprowadzona, ażeby najzupełniej przekonała.

A jednak pani Mellerowa tego nie zrobiła. Wprawdzie nie trudno wyrozumieć z jej sztuki, iż uważa winniejszym mężczyznę, lecz przekonania tego nabieramy nie z toku akcyi, lecz z tonu kaznodziejskiego. Scena nie jest amboną, kazania z niej nie trafiają do niczyjego przekonania. Tam trzeba wiernego wizerunku życia, prawdy psychicznej, a nie moralizujących tyrad. Te ostatnie stanowią słabą stronę nowej sztuki pani Mellerowej. Co najdziwniejsza, że w tym utworze autorki, która dała tyle dowodów, iż umie władać ożywioną akcyą, brak życia dramatycznego zupełny. Sceny luźne nie trzymają się, osoby włóczą się tam i sam bez celu, a węzła silnej intrygi dramatycznej, ani też skupienia działalności nie podobna doszukać.

Oto treść sztuki:

Znajdujemy się na wsi u pana Krukowskiego, szlachcica-gospodarza z krwi i kości. Ziemianin to tęgi, ojciec dobry, sąsiad poczciwy, słowem jeden z tych naszych pięknych typów, jakich ziemiaństwu nigdy nie brak. Że poczciwy, najlepszy dowód już w tem widzimy, że otworzył gościnnie podwoje swego domu sąsiadowi Stanisławowi, któremu się dwór spalił. Pan Stanisław z bratem Juljanem są tu jak w domu, tak ich gospodarz serdecznie ugościł.

Pan Krukowski ma córkę jedynaczkę Bronię. Matkę dziecko to straciło wcześnie, ojciec więc musiał ją kochać podwójnie, słowem Bronia jest trochę rozpieszczoną.

Gospodarstwo kobiece spoczywa w ręku pani Ludwiki, niegdyś nauczycielki, lecz nie w domu pana Krukowskiego. Syn Ludwiki Hipolit, ukończony agronom, pomaga panu Krukowskiemu w gospodarstwie, a pomaga tak dzielnie, że wartość majątku niemal podwoił.

Życie w tym dworze płynie spokojnie, niezamącone, szczęśliwie. Zaczyna się akcya.

Hipolitowi ofiarują posadę nauczyciela agronomii, przyjmując ją musiałby opuścić pana Krukowskiego. Hipolit tego uczynić nie chce, waha się zresztą. Ojciec mówi o tem z Bronią, a ta zaklina go na wszystkie świętości, ażeby Hipolita nie puszczał. Ojciec domyśla się, że w tem coś musi być. Niezawodnie panna kocha się w towarzyszu swej młodości.

Jeszcze Krukowski nie przestał o tem myśleć, kiedy zjeżdża siostrzenica jego pani Irena, młoda a bardzo piękna wdówka. W ślad za nią zjeżdża pan Tyszko, adwokat przysięgły, podstarzały donżuan, który się w Irenie zapamiętale kocha. Ona się opiera jego miłości, nie wierzy mężczyznom i obawia się zawodu. W końcu miłość zwycięża przyrzeka Tyszce swą rękę. Kilka chwil później wchodzi do tego samego pokoju Ludwika. Na widok Tyszki mdleje — zasłona zapada.

Pani Irenie już wpierw opowiedział Krukowski historyę biednej Ludwiki. Kiedy jeszcze była bardzo młodą nauczycielką, pokochała chłopca młodego a ten ją zdradził, porzucił i choć wielki w obec niej zaciągnął dług, o ożenieniu się nie pomyślał. Ludwika nie wymieniła wszakże jego nazwiska. Pan Krukowski opowiedział rzecz całą Irenie dlatego, że przekonał się, iż córka jego Bronia kocha syna tej pani Ludwiki, Hipolita. Krukowki go ceni bardzo, ale dać córkę za żonę człowiekowi bez nazwiska, coby na to sąsiedzi i świat powiedział?

Znając tę historyę, a widząc zemdlenie Ludwiki na widok Tyszki domyśla się zaraz Irana, że tym niegodnym uwodzicielem on był. Czuje w sercu żal, że mogła takiego człowieka pokochać i zaczyna nim pogardzać. Tyszko wszakże chce zrobić wiele ustępstw, byle go tylko Irena nie odpychała. Ona mu wskazuje tylko jedną drogę — ożenić się z Ludwiką.

Aż dotąd wszystko dobrze.

Przechodzimy w krainę chaosu, psychicznych zamętów i życiowo-etycznych dysonansów.

Tyszko chce syna legalnie przyznać, dać mu połowę znacznego majątku, aby tem zapewnić mu przyszłość i utorować drogę do małżeństwa z Bronią. A trzeba jeszcze wiedzieć, że ta naiwna szczebiotka Bronia sama się Hipolitowi oświadczyła!

Pan Krukowski, dowiedziawszy się o takich zamiarach Tyszki, oświadcza, że swą córkę da Hipolitowi, skoro tenże już teraz będzie miał nazwisko. Hipolit wszakże łaskę swego ojca odrzuca, żąda ażeby uczynił wszystko nie dla niego, lecz dla matki. Scena ta istotnie śliczna i wzniosła. Tyszko żenić się z Ludwiką nie chce żadną miarą: dziś serce jego całe oddane Irenie.

Wobec takiego położenia rzeczy Bronia bliską jest rozpaczy. Hipolit ją żegna, i z matką opuszcza dom jej ojca. Biedne dziewczę nie może miłością złamać dumy syna, dla którego matka jest bożyszczem.

Irena nie może należyć już do akcyi, pogardza Tyszką i żoną jego nie chce zostać.

Pozostaje Tyszko i Ludwika.

Zanim powiem co autorka każe zrobić swym bohaterom, zwrócę uwagę na znaczenie sytucyacyi do której doszliśmy.

Ludwika przecierpiała w opuszczeniu lat dwadzieścia kilka. Marła z głodu i z głodu wyciągała po jałmużnę dłoń i to wszystko dlatego, że mia-

ła obowiązek żyć dla syna. Życie jej więc w ciągu lat dwudziestu kilku było całym szeregiem poświęceń i ofiar dla tego dziecka nieszczęśliwego. Dziś sytuacya tak się układa, że ten syn kocha całą duszą dziewczę, które też jemu serce swe całe oddało, które bez niego żyć nie chce. Ojciec panny chce ją Hipolitowi oddać za żonę, skoro będzie miał nazwisko. Tyszko daje mu to nazwisko i jeszcze majątek w dodatku, syn odrzuca ofiarę. Tak być powinno.

Ale czyż to być może, ażeby matka, która dla syna tego tylko żyje, nie nakazała mu przyjąć jej? Wszak tu idzie o szczęście dwojga, o szczęście własnego dziecka! Rozumiem, że Ludwika nie powinnaby przyjąć dziś ręki Tyszki, uwodziciela, na to by jej duma kobieca nie pozwoliła. Dalej nie powinna nawet po legalizowaniu Hipolita, Irena przyjąć ręki Tyszki, lecz starsi, z sercami złamanemi, z całym szeregiem lat pełnych cierpień, powinni zdobyć się na rezygnacyą, dla młodszych szczęścia potrzeba koniecznie, choćby z ofiarą tamtych. A cóż dopiero, kiedy tamci dziś już ofiar nie ponoszą. Więc dlaczego ta matka łamie życie syna i tej, którą on kocha? Czy to jest miłość matki, czy jakiś nie dający się wytłomaczyć kaprys?

My ideał matki inaczej pojmujemy. Matka to dla nas wcielenie szlachetności, gotowości do poświęceń nawet, jeśli idzie o dobro dzieci. Tą ideą chrześcianizmu, żyją rodziny i społeczeństwa. Ludwika milcząca jak posąg jest karykaturą, szykaną matki!

Tyle o sztuce.

Grano ją bardzo dobrze. P. Ostrowski, jako Krukowski, był typem szlachcica-ziemianina niezrównanym. Bronię grała panna Czakówna z tą serdeczną naiwnością, która zdobywa serca, a czasem łzy wyciska. Jej śmiech i smutek mają nieudaną szczerość. Irenę odtworzyła pani Lüde, dając dowód wielkiego talentu w rolach potrącających o liryzm i strunę poważną. Pani Rakiewiczowa jako Ludwika traktowała rolę swą zbyt koturnowo, która sama z siebie niewdzięczna, w sztuce najgorzej obrobioną została. Pan Prażmowski był bohaterem, porywającym słuchaczy w kilku scenach, jak nigdy dotąd. Całość jego roli wyszła skończona. Artysta ten wchodzi obecnie na nową drogę ról dramatycznych i pewno zdobędzie wielkie uznanie. Pan Ładnowski charakteryzacyą popsuł swą rolę, upośledzoną przez autorkę, do reszty. Artysta to znakomity w kostiumie, ale nigdy w komedyi salonowej.

Druga sztuka, to istne malowidło parawanowe. Autor chyba drwi sobie ze sceny i sztuki. Ani myśli, ani ładu, ani umiejętności pisania nie znajdzie w jego „Sto tysiącach". Gdyby nie wyborna gra p. Rapackiego i panny Wisnowskiej, niewspominalibyśmy nawet o tej farsie. Panna Wisnowska umie pobudzić do śmiechu choćby najsmutniejszego, a jej finerya w grze i wykonaniu szczegółów, zapewnia jej coraz większe powodzenie. Pan Rapacki jest mistrzem na scenie. W jego ustach nawet słowa autora „Stu tysięcy" nabierają życia, postać wyrasta, przerasta sztukę i autora.

E. Zorjan.

Pogadanka.

Żałobne dzwony zapłakały nad starym grodem Krakusa, a płacz ten głośnem echem odbił się, aż w najodleglejszych zakątkach kraju. Czarne chorągwie powiewają z okien krakowskiej akademii, a kilkonastotysięczny tłum postępuje za trumną wielkiego męża.

To pogrzeb ś. p. Szujskiego, znakomitego historyka, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, członka akademii umiejętności, posła na sejm galicyjski, jednego z najczynniejszych mężów politycznych, jakimi się współczesne społeczeństwo może pochlubić.

Strata ta dla kraju ogromna! Zmarły był czynnym na każdem polu pożytecznej pracy, posiadał zdolności, które go w każdej pracy stawiały wysoko, strata tem boleśniejsza, że ś. p. Józef Szujski liczył dopiero lat *czterdzieści siedm*, a więc śmierć jego przerwała całe pasmo nadziei, jakie jego działalność na przyszłość jeszcze rokowała. Społeczeństwu naszemu zapowiadał jeszcze wiele i wiele też w każdej chwili na takiego męża można było liczyć.

Pożyteczny, cichy, a niezmordowany pracownik, należał do gorliwych szermierzy spraw dotyczących ogółu. Dla swego stronnictwa był silnym filarem, którego ubytek długo pozostanie niezastąpionym. Jeżeli o tem wspominamy, to dlatego, aby zrobić uwagę, dla nas nader pocieszającą. Jednym z najprzykrzejszych dyssonansów w życiu społecznem, czy politycznem są spory stronnictw. W chwilach wszakże tak ważnych jak zgon znakomitego męża, przycichły głosy sprzeczne, nad mogiłą tego, którego śmierć dla wszystkich stała się stratą bolesną a nastąpiła harmonia pełna żałoby.

Duch jej winien być rodzicielem pojednania, jak to pięknie Malczewski powiedział:

„Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
Wróci spokojność — wróci!"

Wieczorem 9 b. m. pochowano zwłoki ś. p. Szujskiego, a już o trzeciej z rana dnia następnego, pożegnał ten świat drugi nasz historyk Wacław Aleksander Maciejowski. Był to człowiek sędziwy, bo liczący już lat *dziewięćdziesiąt*. Zamiłowany pracownik na niwie dziejów krajowych, nie ustawał w pracy ani na chwilę, aż do dni ostatnich. Gromadził materyały dziejowe, a ostatnią jego pracą przygotowaną już do druku była: „Historya miast w Polsce". Powiadają, że sędziwy historyk, który żywo interesował się ruchem naukowym, osobliwie w zakresie dziejów, zmartwił się niezmiernie wiadomością o śmierci Szujskiego i to tak zabójczo na niego oddziałało.

Lecz nie my tylko jedni ciężkie ponosimy straty. Niedawno zmarł Gustaw Doré, znakomity francuzki illustrator i kompozytor Flotow.

Pierwszy był mistrzem światła i cieni — drugi tonów.

Wiadomo, że Doré, jako illustrator „Pisma świętego" oryginalnie pojmował zjawiska aniołów. Rysował on ich dziwnie poetycko, nie nadawał im ostrych realnych konturów, lecz kształty ich tworzył niejako z promieni świetlanych. Aniołowie Dorego wyglądali istotnie jak zjawiska nadprzyrodzone.

Wracajmy na ziemię, jest tu o czem myśleć i o czem mówić. Oddawszy cześć zmarłym trzeba nam wracać do pracy, ażeby z tej walki, która się zaczyna życiem wyjść zwycięzko.

Alboż to nie pracujemy? zapyta niejeden. Alboż co dnia nie przybywają nam fabryki, zakłady? Istotnie, tak jest dziś, mamy już nawet fabrykę pasztetów. Kielce są tem miastem, które pomyślało o podniebieniu smakoszów i z kwiczołów wyrabiają pasztety, pakują je w blaszane puszki i dalejże obdarzać wsie i miasta wytworną łakocią.

Dobre i to, lepiej, że będziemy jedli pasztety krajowe, aniżelibyśmy mieli pieniądze wysełać do Strasburga za pasztety z gęsich wątróbek. Alboż to nam brakuje gęsi, alboż to mało śledzienników mówi aż do znudzenia o wątrobie i wszystkich jej przypadłościach?

Lecz pasztet to zbytek, a pewno nie ze zbytku powiększono w Warszawie ilość porcyi wydawanej codziennie zupy rumfordzkiej i nie dla zabawy uznano konieczność wybudowania domu przytułku i zakrzątnienia się około urządzenia odczytów na dochód osad rolnych.

Myśl to piękna! Nie dziś ona zrodzona, ale wiecznie dobra, zawsze pożyteczna i pewno znajdzie poparcie u ogółu. Słuchaczy obdarzą prelegenci biesiadą duchową — słuchacze zasilą biednych materyalnie i moralnie, groszem którego na takie cele trzeba wiele, bardzo wiele.

Światła, więcej światła, nawołujemy ciągle, więcej aniżeli go ma Warszawa ze swych ciemnych latarni gazowych.

W pośród zmierzchu złego rodzą się zbrodnie i niestety ilość ich nie bardzo się zmniejsza.

Kradzieże, rabunki, podpalania są na porządku dziennym, a do tego wszystkiego dołącza się jeszcze: świętokradztwo.

Smutne to bardzo smutne, kościół to przybytek święty, z którego biją złote blaski dobrego, wiary, miłości i nadziei! Gdy i on przestaje być szanowany, to i cóż pogardzie nie ulegnie?

Jakby na pociechę po przełknięciu tej gorzkiej pigułki, dochodzi nas wieść o ogromnym ruchu w handlu zbożowym. Na kolejach rady sobie dać nie mogą z transportami, a wszystko to idzie do Gdańska.

W numerze 6-ym „Roli" spotykamy artykuł o domowem gospodarstwie wiejskiem, które bardzo jest u nas zaniedbanem. Autorka zwraca uwagę na wielkie korzyści, jakie z gorliwej pracy na tem polu niezawodnieby wypłynęły. Chów drobiu i gospodarstwo mleczne dałoby wielkie zyski a kobietom na wsi zajęcie, którego dziś tak wiele szuka: dalej zwraca autorka uwagę na tę okoliczność, iż w ostatnich czasach zbyt wiele kobiet w pogoni za chlebem i pracą garnęło się do miast, gdzie uprawiały rzemiosła. To spowodowało zbyt wielką konkurencyę, która przy małym popycie na wyroby nie mogła wydać dobrych owoców. Dlatego radzi, ażeby się gorliwiej zwrócono do gospodarstwa wiejskiego, do którego racyonalnego prowadzenia konieczną jest „szkoła gospodarcza."

Do dyssonansów naszego życia należy zaliczyć fakt rzadki, niebywały — sprawę Ignacego Kamieńskiego w Wiedniu. Zbyt ona głośna, znana wszystkim a jak przykre wywarła na ogóle wrażenie!

We wrzasku o niej pism niemieckich, znowu sprawdziła się prawda słów ewangelii o źdźble w oku brata i belce we własnem. W krachach

przebytych, powiedziano, łapówki brano za zasady.

Czego to dziś już nie można kupić! Na wszystko naznaczają cenę. Czyż można się dziwić teraz, że pastor Hicks, który oddawał ostatnią posługę skazanemu na śmierć mordercy Garfielda, Guiteau, nie chce wydać jego szkieletu inaczej jak za zapłatą dwóch tysięcy dolarów! I on także chce zrobić dobry interes, skoro się sposobność do tego zdarza.

Już to wogóle Ameryka obfituje w pomysły płacenia i kupowania.

Pewna aktorka uratowała przytomnością umysłu publiczność zebraną na przedstawienie.

Wybawieni od szwanku zrobili zaraz składkę i zapłacono jej 9,000 dolarów za pomysł!

Pieniądz jednak czasem jest klęską nie do pokonania.

Proszę sobie wyobrazić, że jedna z najbogatszych panien w Ameryce, posiadająca kilka milionów dolarów wstępuje do klasztoru, jedynie dlatego, że jest pewną, iż nikt jej nie poślubi dla niej samej, lecz jedynie dla milionów. I wartoż to żyć mając takie skarby! Nie każda jest tak piękną i godną kochania jak Bettina i nie każda znajdzie tak poczciwego Jana jak to się stało w powieści „Ksiądz Konstanty".

Alboż to u nas historya posagu nie powtarza się codziennie, depcząc najszlachetniejsze uczucia, łamiąc serca i zabijając duszę. Nie zawsze to jednak się dzieje. Dobrego fałszywe blaski olśniewają, pociągają, zasługa cicha nie ciśnie się na widok publiczny. A jednak w działalności tych cichych większa potęga, niż wielu przypuszcza. Nasze matki i żony stanowią miliony. W ich rękach potęga największa — wychowanie. Nie nauka stanowi o charakterze ludzi, lecz zasady, te wpaja w dziecko matka, od niej zależy dać na drogę życia złoto lub... szych!

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Śmiertelne wianki, nowella, Teofila Tarczy. Warszawa, 1882 r.

Pan Tarcza zaczerpnąwszy pełną dłonią w mętnej bardzo studni fantazyi swojej, napisał coś na kształt nowelli do której wplótł elukubracye na ulubiony temat semityzmu i antisemityzmu, zaprawiając takowe najohydniejszemi scenami. Jest tam uwiedzenie aż dwóch kobiet należących do wyższych sfer, przez ex-żyda, który będąc artystą malarzem mści się na tych kobietach za to że jakaś wymarzona krzywda wyrządzoną mu została, że „ma nieszczęście należeć do owej, niby równouprawnionej rasy." Dalej jest wyzwanie pojedynkowe, usiłowanie samobójstwa uwiedzionych kobiet i nakoniec aż dwa weseliska!

Na nowelkę obejmującą 60 stronic i połowa tego wszystkiego byłaby dostateczną!

Odgłosy wielkiego tygodnia, A. Fiedorowicza. Kijów, 1882 r.

P. Fiedorowiczowa rymami opiewa św. Dyzmę, Chustę Weroniki, Ostatni dar i Rezurekcyą. Są to poemaciki osnute na temata z Nowego testamentu, lecz tak niezręcznie, że aż serce boli czytając te wysiłki rymotwórcze.

Prof. Dr. Łuczkiewicz. Wykład popularny o blednicy, na użytek publiczności nie lekarskiej. Wilno, 1882 r.

Prawdziewie, że wielką, niewysłowioną usługę oddaje szanowny autor, puszczając od czasu do czasu dziełka treści lekarskiej obrobione w formie jak najprzystępniejszej celem zapoznania ludzi niepoświęcających się medycynie, z chorobami ciężko trapiącemi ród ludzki. Niniejsze dziełko jest czwartem z rzędu tego rodzaju. Szanowny autor wykład swój dzieli na cztery części. Najprzód określa: *istotę choroby bledniczej*, dalej *przyczyny tejże, jej objawy* i kończy *prawidłami zachowania się*, celem zapobieżenia powstania choroby.

Szczegółowego rozbioru tej cennej pracy podawać tu nie będziemy lecz zwracamy uwagę tu na nią matek mających córki, życząc szczerze, aby chciały postępować wedle wskazówek szanownego profesora, będąc pewne, że przypadłości blednicy córek ich nie dotkną.

Wykład cały napisany jest treściwie, zrozumiale i nie bez pewnej dozy zdrowego humoru zaprawionego prawdami wielkiej doniosłości.

Prof. W. Boberski. Powstanie gór i lądów. Warszawa, 1883 r. (odbitka z „Wędrowca").

Treściwie i w sposób wielce przystępny prof. Boberski w powyższej broszurce przedstawia teoryą powstawania gór i lądów, a to zestawiając poglądy i zapatrywania się na tę kwestyą geologiczną różnych badaczy jak: Bischofa, Volgera, Mohra, Bucha, Humboldta, Falba, Beaumonta i wielu, a wielu innych. Wedle tych więc badań okazuje się, że wnętrze ziemi zwolna zmniejsza się przez oziębienie a powłoka czyli już stwardniała skorupa obniża się miejscami.

Konkludując swą pracę na podstawie przytoczonych badań i doświadczeń profesor Boberski tak mówi: „Zebrawszy tedy wszystko dotychczas powiedziane, widzimy wieczne wahanie się skorupy ziemskiej, rozległe uczłonkowanie pionowe, wywołane niejednostajnem zniżaniem się i w ślad za tem idące spiętrzenie części skorupy ziemskiej. A w przestworze czasu, w którym promień ziemski o 50,000 metrów zmalał, zmienił się jakie dziesięćkroć rozkład suszy i morza a spokój i równowaga i zupełne wyrównanie wtedy nastąpią, gdy zamrze siła kontrukcyi, góry zaś, te są właśnie miejscowym wynikiem owej kontrukcyi. Spiętrzenie tych gór było jedną chwilką a zniszczenie będzie drugą chwilką w historyi matki naszej ziemi.

Orzeczenia te jednak, nie są jeszcze ostatniem słowem geologii dynamicznej. Licznie i ciągle prowadzone doświadczenia i badania w niedalekim może czasie rozjaśnią widnokrąg dziś niezupełnie jasny, że zaś dzisiejsza nauka jest na bitym gościńcu prowadzącym do „prawdy" to nie ulega wątpliwości. Praca powyższa pomieszczona pierwotnie w „Wędrowcu" dziś opuściła prasę w oddzielnej odbitce, dochód z której autor przeznaczył na rzecz kasy pomocy naukowej imienia D-ra Mianowskiego.

Nowosielski Teofil. Podarek dla grzecznych i pilnych dzieci. Książeczka abecadłowa z rysunkami. Warszawa, 1883 r.

Książeczka ta poprzedzona nauką czytania mieści w sobie liczne wierszyki, bajeczki, piosenki, przysłowia, zdania, powiastki, cnoty najpotrzebniejsze ściągające się do Boga, zdania moralne, opisy miasta, wsi, lasu, ogrodu, ziemi, krótkie wiadomości z historyi naturalnej, wierszowane życiorysy sławnych ludzi i t. d. a wszystko to ozdobione bardzo licznemi i pięknemi drzeworytami. Wydawnictwo samo przez się tak treścią jak wewnętrzną wartością, zaleca dla małych dzieci.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Grobowe dźwięki wawelskiego dzwonu, rozniosły po całej przestrzeni kraju bolesną wieść o śmierci ś. p. Józefa Szujskiego, znakomitego uczonego, historyka, poety, dramaturga i polityka. Do rozległej głębokiej wiedzy i wszechstronnej erudycyi, łączył najszlachetniejszy charakter, najpiękniejszą duszę i wzniosłe gorące serce, które ziemię rodzinną bezgraniczną ukochało miłością. To też wiadomość ta nader bolesnem echem odbiła się w całym kraju, do którego śmierć jego jest niepowetowaną stratą.

Józef Szujski urodził się w Tarnowie w r. 1835. Studya uniwersyteckie odbywał na wszechnicy jagiellońskiej i w Wiedniu. Pierwsze wystąpienie jego na polu literatury ojczystej, rozpoczęło się od poezyi ogłaszanych w „Dzienniku literackim" wychodzącym we Lwowie, oraz w dodatku do „Czasu". W r. 1860 wydał „Portrety nie-van-Dyka" a w 1862 r. zaczęły wychodzić we Lwowie „Dzieje Polski według ostatnich badań" wydawane zeszytami. W tejże chwili ukazały się dramata Szujskiego. Do Sejmu wszedł ś. p. Szujski po raz pierwszy w 1867 r. a następnie w 1870 roku. W 1869 r. mianowany został profesorem historyi polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, i z kolei był dziekanem wydziału filozoficznego i rektorem. Po założeniu Akademii Umiejętności, obrany został członkiem i sekretarzem jeneralnym tejże instytucyi, a po bytności cesarza Franciszka w Galicyi, mianowany został dożywotnim członkiem Izby wyższej.

Gdy wieść o śmierci jego rozeszła się w Krakowie, wywieszono żałobne chorągwie na gmachach Uniwersytetu i Akademii Umiejętności. Pogrzeb odbył się z wielką uroczystością, zwłoki złożono na Skałce, w „grobie zasłużonych".

*** W Bolonii, w akademii literatury polsko-słowiańskiej, istniejącej przy Uniwersytecie bolońskim, a założonej jak wiadomo staraniem znanego profesora Santagata, pani Malwina Oganowska ofiarowała się wykładać bezpłatnie język polski. „Il Diritto" pisze, że nie poprzestając na tem, rozdawane będą studentom bezpłatne książki, a dziennik boloński „Stella d'Italja" donosi w jednym z ostatnich numerów, że na wykłady pani Oganowskiej, zapisał się liczny bardzo poczet studentów, dając tem dowód wielkiej sympatyi dla przedmiotu i ich przedstawicieli. Wiadomo także, iż znakomity nasz poeta-rzeźbiarz, Teofil Lenartowicz, mianowany profesorem literatury, rozpocznie wykłady swoje z początkiem p. m. Tym razem mówić będzie o „Maryi" Malczewskiego.

*** W ostatnich dniach z. m. odbyło się w Gdańsku przedstawienie amatorskie, staraniem polskiego Towarzystwa „Ogniwo", na którem odegrano komedyę tłomaczoną z węgierskiego, p. n. „Stary piechur i syn jego huzar". Od czasu założenia „Ogniwa" w r. 1876 jest to 14-te z rzędu polskie przedstawienie teatralne, i wszystkie dotąd cieszyły się powodzeniem, ostatnie jednak przeszło

wszelkie oczekiwanie. Zebrała się liczna publiczność, iż sala zaledwie pomieścić ją mogła. Przybyli wszyscy niemal zamieszkali w Gdańsku Polacy, pewna liczba gości z prowincyi i znaczna liczba Niemców i Niemek.

*** Towarzystwo dawnych uczni szkoły polskiej w Paryżu, dnia 25 z. m. urządziło odczyt na cześć Bohdana Zaleskiego. Prelegent, pan Wacław Gasztowt, profesor w kolegium Chaptal, oczarował słuchaczy głębokością wykładu, prześliczną wymową, dowcipem i uczuciem żywo odbijającem się w sercach słuchaczy. Mówił o poezyi i podnosząc znaczenie jej w narodzie, wykazał zalety prawdziwej, natchnionej poezyi, która tylko w czystych i wzniosłych duszach zrodzić się może. Poeta, mówił, nietylko utworami ducha ale i życiem swojem należy do narodu i skreślił życie ukraińskiego wieszcza, tak czyste, świątobliwe i bez najmniejszej skazy, iż dla najodleglejszych pokoleń wzorem pozostanie.

*** Karol Bodenham de la Barre, jeden ze szczerych, gorących przyjaciół naszych, przeniósł się do wieczności w ostatnich dniach z. m. w 60 roku życia. Czem ś. p. lord Dudley Stuart w parlamencie, tem był dla nas Botterwarth. Urodzony w r. 1812, pochodził z anglo-saksońskiego rodu, jakich obecnie nie wiele już pozostało w Anglii. Wyższe nauki pobierał na uniwersytecie oxfordzkim i tam zaprzyjaźnił się z Wojciechem Morawskim którego siostrę Irenę pojął później za żonę. Przez ten związek spokrewniony został z wielu polskiemi rodzinami, a zaprzyjaźniwszy się ściśle z takiemi osobistościami, jak: Zygmunt Krasiński, Władysław Zamoyski, Jerzy Lubomirski, Adam Potocki, Maurycy Mann, Jan Koźmian, Jelowski i Kajsiewicz—stał się Bodenham niemal członkiem naszego społeczeńswta i wiernie służył mu do śmieci. Zmarły zasłużył na wdzięczność naszą, — cześć jego pamięci!

*** Komitet wykonawczy Wystawy rzymskiej, w połączeniu z klubem artystów, wydał w przeszłym tygodniu niezwykłe śniadanie dla artystów i zaproszonych gości — w Termach karakalli. Odbyło się ono po południu, przy udziale 1,300 zaproszonych. Zwaliska zamienione w ogromną salę, przybrano w starożytny sposób. Płótno zastąpiło brakujący sufit; stoły roztawione były do koła, a w samym środku wznosiła się kopia grupy Laokoona. O tyle jednak zrobiono ustępstwo dla teraźniejszości, iż zaproszeni jedli siedząc a nie leżąc na łożach. Całe przecież śniadanie obejmowało potrawy starożytne i ułożone było po łacinie. Przy głównym, honorowym stole, zajęli miejsca: książę Torlonia, syndyk Rzymu, p. Baccarini, minister robót publicznych, p. Baccelli, minister oświecenia; margrabina Gravina, prefekt Rzymu; książę Emmanuel Ruspoli, prezes wystawy, oraz prezes artystycznego międzynarodowego klubu i kilka wyższych urzędowych figur.

Podczas uczty muzyka wykonywała starożytne utwory i hymny.

*** W jednym z N-rów b. r. czasopisma „Unsere Zeit" zamieszczony jest artykuł „o Japonii" profesora Brümes'a obejmujący wiele ciekawych szczegółów, szczególniej odnoszących się do położenia kobiet. Oto co pisze między innemi:

„Uniwersytet i kilka stacyi kolei, nie stanowią jeszcze dostatecznej dźwigni oświaty narodu, nie posiadającego szkół publicznych ani przymusowego nauczania — najmniejszy jednak wpływ wywarła tu cywilizacya europejska na stanowisko kobiet. Według pojęć japońskich, głównem zadaniem wychowania ładnych dziewcząt japońskich jest wyuczenie ich sztuki podobania się. Daleko szczęśliwsze są nieładne, gdyż jako nie nadające się do niecnego handlu, pozostają w domu i wychodzą za mąż za ludzi swego stanu. Zajęcia toaletowe i etykieta, oto treść życia Japonki wyższego stanu. Obrządek ślubny jest nader prosty. Oblubieńcy przybrani w jaknajbogatszą odzież, udają się do domu nowożeńca, i tam w obec rodziców, przyjaciół, krewnych i swata wypijają czarę „sake„ czyli wina ryżowego. Podług praw japońskich, córka nie dziedziczy po rodzicach; jeźli więc mają jakiś majątek, adoptują wybranego na zięcia, i ten wtedy zostaje spadkobiercą. Często staje się to powodem, że gdy mąż po śmierci rodziców—korzystając z nader wielkiej łatwości rozwodów—odtrąca żonę, biedna staje się łupem największej nędzy. Żona jest uważana za pierwszą sługę męża, i tylko bezwarunkowa uległość i ślepe posłuszeństwo, dają jej *nadzieję* pozostania do śmierci w jego domu. Nadzieję ale niepewność, gdyż pomimo nawet tego mąż może ją oddalić kiedy mu się podoba—wtedy opuszcza ona dzieci i odchodzi. Jeźli jest ładna i dość jeszcze młoda, szuka innego męża — z którym często taki sam los ją czeka. Wielka szkoda że zamiast rozpoczynać cywilizacyę od wojska, nie skierowano jej najpierw w Japonii do życia rodzinnego."

*** Czemże są nasze ślizgania i zabawy na lodzie, w porównaniu z urządzaną corocznie zabawą karnawałową na lodzie, w Montréol, w Kanadzie. Tak zwany tam „karnawał na lodzie", rozpoczął się dnia 28 z. m. Najpierw miała miejsce olbrzymia szlichtada, w której brało udział 200 sani, a następnie nastąpiło otwarcie pałacu lodowego przy Dominiansquare. Pałac wznosi się na wzgórzu, w samym środku miasta, ma z każdej strony 100 stóp rozległości, oraz cztery wieże 30 stóp wysokie i 15 szerokie. W środku gmachu wznosi się wieża 100 stóp wysoka. Mury i wieże pałacu zbudowane są z brył lodu, mających 40 cali sześciennych długości. Kryształowe te głazy, układane są jedna na drugiej i polewane wodą, dopokąd jednej nie utworzą massy; dach ułożony jest z belek, dopóty polewanych wodą, za pomocą sikawki parowej, dopokąd nie pokryje się grubą powłoką lodową i wiszącemi soplami lodu. Pałac ten oświetlany promieniami słońca lub światłem elektrycznem, robi wrażenie jakiegoś czarodziejskiego gmachu. W ciągu dnia odbywały się wyścigi na lodzie, tak przy pałacu jak i na wielu innych ślizgawkach; w zabawie tej brało udział przeszło 5,000 osób.

*** Niedawno temu przywieziono do Marsylii wosk roślinny, który wyrabia się z rośliny uprawianej od niedawnego czasu w Tunisie i w Algierze. Roślinny ten produkt mało różniący się od wosku pszczolnego, zwrócił na siebie uwagę przemysłowców. Dr. Karol Scherzer podaje o tej roślinie następujące szczegóły. Krzak wydający jagody woskowe (Marica cordifolia) rośnie dziko na piaszczystych polach kraju przylądkowego (Kapland,) wzdłuż wybrzeża i jest tam prawie jedyną rośliną, niejako torującą drogę innym, gdyż dopiero gdy krzak ten zapuści korzenie w suchym piasku, inne około niego wzrastać zaczynają. Krzak ten kwitnie w listopadzie, a w marcu lub kwietniu wydaje małe, ciemne jagody, pokryte woskiem. Dla otrzymania wosku, wrzuca się jagody do kotła z wrzącą wodą, w której oddzielając się od jagód, tłuszcz występuje na wierzch i wtedy można go zbierać. Liści używają czasem za napój zamiast herbaty. Roślina ta rośnie także w południowych okolicach Ameryki północnej.

*** Towarzystwo wyrobu elektrycznych lamp Edisona, założyło ogromną fabrykę, w Ivry pod Paryżem, koniecznych do wyrobu przyrządów. Zakład ten wyrabia dziennie po 500 lamp, które według poręczenia towarzystwa mogą dostarczać każda światła na 800 do 1,200 godzin. Cała ta olbrzymia fabryka zbudowana i urządzona pod nadzorem Edisona, zostaje obecnie pod kierunkiem p. Betchelora.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z bawełowym stanikiem. Spódnicę pokrywają falbanki plisowane z gładkiej gazy naszyte u dołu wstążką atłasową odmiennego koloru; draperya dana z materyi jedwabnej w pasy a stanik z gładkiej materyi (tego co pasy na tunice i wstążki na falbankach koloru). Berta z materyi w pasy przypięta gałązką kwiatów poniżej ramienia.

Suknia z gorsecikowym stanikiem. Bluzka, spódnica i draperya są uszyte z cieniutkiego, bladego koloru batystu; gorsecik, szeroka szarfa, przepięta z boku bukietem kwiatów i plisy na sukni są z atłasu tego samego koloru. Suty wachlerzowy garnirunek z koronek podnosi niezmiernie efekt całej toalety. Włosy związane wstążką.

Zawiadomienia.

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr. 3.

Najlepsza metoda do nauki języka angielskiego w 24 lekcyach, niemieckiego zaś w 3 miesiącach bez nauczyciela opracowana przez P. v. Reussner może służyć dla osób niemogących korzystać z pomocy nauczycielskiej.

W metodzie angielskiej oprócz wszelkich innych udogodnień w nauce mieści się objaśnienie wymowy każdego wyrazu.

W kursie zaś niższym metody niemieckiej, podał autor objaśnienia wymowy, czem ułatwił naukę samoukom początkującym. W obydwóch tych metodach przeplata przytem ćwiczenia gramatyczne i rozmowy ustępami powiastek i anegdotek dosłownie tłomaczonych na język polski, które oddzielnie wydane kosztują kop. 18.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Февраля 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 7, r. 1883.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM PIERWSZY.

(Dalszy ciąg.)

— Eliano, nie powinienbym zadawać ci podobnych zapytań, i może odpowiedź twoja uczyni mnie jeszcze nieszczęśliwszym niż jestem, a jednak błagam cię abyś mi powiedziała prawdę. Horacy jest próżnym i zarozumiałym, ale nie zdolnym do podobnego kłamstwa; nie powoływałby się na otrzymane od ciebie upoważnienie, gdyby nie był przekonanym że tak jest rzeczywiście... i właśnie na mocy tego przekonania oświadczył się o ciebie.

— Komu? zapytała zimno Eliana, marszcząc brwi.

— Tej która zastępuje ci matkę.

— Gdyby pani de Liminges była nią rzeczywiście, nie mogłaby jeszcze rozrządzać mym losem bez mego zezwolenia.. Co zaś do przypuszczeń jakie podobało się tworzyć panu de Trévals, sądzę że nie ośmieliłby się powtórzyć ich przy mnie.

Postąpiła kilka kroków chcąc oddalić się z pokoju. To co usłyszała w tej chwili, rozbudziło całą niezależność jej charakteru, a prócz tego jakieś bolesne uczucie zakradło się do jej serca. Jak Raynold mógł przywiązywać wiarę do tego co jej mówił przed chwilą? Jak mógł przypuścić że ona pójdzie za pana de Trévals?..

Była rozdrażnioną, smutną aż do łez, ale niktby tego nie wyczytał z jej twarzy, i milcząc zbliżała się do drzwi.

— Chwilkę jeszcze, Eliano! tylko chwilkę! zawołał pomimowolnie Raynold, stłumionym i drżącym głosem.

Zwróciła ku niemu głowę, piękne jej oczy zatrzymały się chwilę na twarzy Raynolda, i spotkały się znów z tem spojrzeniem które już dwa razy wzruszyło ją tak silnie. Z tem spojrzeniem, które mówiło tak wyraźnie: „Kocham cię!" jak to wyraźnie powiedziało jej serce, gdy przed chwilą zapytała je o to.

Trwało to jednak zaledwie parę sekund. Raynold zdołał powstrzymać wyrazy cisnące mu się gwałtem na usta. Przypomniał sobie że mu nie wolno mówić, ani o radości z jaką słyszał jej zaprzeczenie, ani też o swej miłości i boleści wstrząsającej całą jego duszę. Przypomniał sobie, że od godziny rozdzielała ich głębsza jeszcze przepaść. Przypomniał sobie że honor, szacunek, a nawet sama jego miłość skazuje go na katusze milczenia.

Patrzyli na siebie chwilę w milczeniu, potem Eliana odwróciła głowę i wyszła nie powstrzymywana już przez niego. Gdy się oddaliła, Raynold stał jesze długo, z oczami zwróconemi na drzwi za któremi znikła, i serce ścisnęło mu się tak boleśnie, jak gdyby kamień grobowy ukrył ją przed jego wzrokiem.

XIV

Raynold miał słuszność utrzymując że pan de Trévals nie byłby zdolnym kłamać. ale nie wiedział że nie był także zdolnym zrozumiéć że zimne obejście Eliany powinno było pozbawić go wszelkiej nadziei. Miał wysokie o sobie wyobrażenie; posiadał wszystkie warunki zdolne zapewnić mu życzliwość matek, jak niemniej wszystko co mogło mu zjednać serce córek, i był sobie bardzo wdzięczny za taki dowód bezinteresowności, że nie zważając na szczupły posag Eliany, ulegał uczuciu pociągającemu go ku niej. Nie mógł przypuścić aby to wszystko nie miało do niej żadnego znaczenia; a nadewszystko zdawało mu się niepobieństwem, aby została obojętną na uczucia jakie wzbudziła w jego sercu, a do których on sam dotąd nie czuł się zdolnym. Wydawałoby mu się to czemś niesłychanem, prawie przeciwnem naturze, aby ta co dokazała tego cudu nie chciała z niego korzystać. Nie mógł zrozumiéć jej postępowania, i dopiero poprzedniego dnia wieczorem, sądził że znalazł klucz do tej zagadki, w przytoczonej powyżej odpowiedzi Eliany.

Pan de Trévals przedstawił więc swą prośbę margrabinie, w dobrej wierze i z głęboką ufnością; ona zaś, przyjęła ją tem chętniej, gdy wyznał że ośmielił się wyrazić swe uczucia pannie de Liminges, i ta dała mu do zrozumienia że powinien zastosować się do przyjętego zwyczaju, i zwrócić się do margrabiny z prośbą o rękę jej synowicy.

Nie potrzebujemy dodawać że porozumieli się prędko i łatwo, ale ponieważ margrabina chciała koniecznie załatwić inną, pilniejszą i bliżej ją obchodzącą sprawę, prosiła pana de Trévals aby wrócił do Paryża i czekał tam do jutra na odpowiedź Eliany. Horacy spełnił jej życzenie, i wyjechał, najsilniej przekonany, że zanim upłynie dwadzieścia cztery godzin, Eliana pozwoli mu powrócić, już jako jej narzeczonemu.

Zaledwie pan de Trévals pożegnał margrabinę, Raynold wszedł do pokoju matki, zanim jeszcze miała czas zawezwać go do siebie.

Malseigne rozmawiając z nim poprzedniego wieczora, uwiadomił go o zamiarach margrabiny względem panny de Longvilliers, i ta wiadomość rozdrażniła go do najwyższego stopnia. Czy nie dość juz cierpiał nad tem że sprzyjała widocznie zabiegom Horacego? Mógł przez uszanowanie i miłość dla matki poświęcić najdroższe uczucia serca ale posłuszeństwo jego nie mogło już sięgać dalej.

Pani de Limiges nie wierzyła w trwałość postanowień swego syna, teraz jednak poznała że naprózno starałaby się doprowadzić do skutku obmyślone przez nią małżeństwo, i dlatego też obecnie nie chciała rozpoczynać o nię walki. Pocieszała się tem że szalony zamiar jej syna nie przyjdzie do skutku, i pomimo przykrości jaką jej sprawiało każde niepowodzenie, byłaby go pożegnała nie mówiąc nic więcej, gdyby Raynold nie zawołał wzruszony:

— Matko! wiesz jak godną jest miłości ta którą kocham i jedynie kochać mogę; jeźli odmówisz mi zezwolenia o ktore błagam cię po raz ostatni — pojmujesz sama że pozostać tu bym nie mógł — więc odjadę...

Margrabina pomyślała chwilę, poczem odpowiedziała:

— Masz słuszność i ja myślę że najlepiej abyś wyjechał na pewien czas.

— Wyjadę więc, ale tym razem, matko, pożegnam cię na dłużej niż myślisz może... Matko! zawołał nadzwyczaj wzruszony, klękając przed nią; błagam cię, zastanów się jeszcze... pomyśl że nietylko przyszłość i szczęście moje, ale nawet dusza moja jest w tej chwili w twej mocy...

Czemuż margrabina nie zrozumiała w tej chwili ważności i doniosłości tej ostatniej prośby syna i smutnych następstw jakie pociągnie jej nieubłagany opór! Ale, na nieszczęście, miała wstręt nieprzezwyciężony do wszelkich, jak nazywała *sentymentalnych frazesów*, nie przywiązując do nich większej wagi jak do gorączkowego majaczenia. W tej chwili syn zrobił na niej wrażenie mówiącego w malignie, to też odpowiedziała mu cierpko, prawie z szyderstwem.

„Aby kochać trzeba być pewnym wzajemności; chcąc kogoś zaślubić trzeba być pewnym że się nie dozna odmowy!.."

A gdy usłyszawszy te słowa syn zerwał się nagle badając ją wzrokiem, opowiedziała mu, tak jak ją zrozumiała, rozmowę Horacego z Elianą...

. . . .

Podaliśmy po krótce rozmowę Raynolda z matką przed spotkaniem się z Elianą w bibliotece. Gdyby Eliana była ją słyszała, zrozumiałaby powód przykrych słów kuzyna, i nie tak bolesne wywarłyby na nią wrażenie. Wróciwszy do swego pokoju nie mogła się uspokoić, po raz pierwszy w życiu nie umiała zapanować nad sobą. Cierpiała niewymownie nad tem co się działo około niej i w jej własnem sercu. Przed godziną jeszcze, teraźniejszość wydawała jej się pogodną i jasną, przyszłość świetną i szczęśliwą — teraz wszystko przedstawiało się niewyraźne i zamglone, jak gdyby patrzyła w zwierciadło przyćmione oddechem. Doznawała jakiegoś uczucia niezgodnego z jej charakterem; czuła żal do ciotki, do pana de Trévals, nawet do Raynolda, a tem samem i do siebie. Od godziny już chodziła po pokoju, nie mogąc zapanować nad swem wzruszeniem, gdy nagle, nie zapukawszy, panna de Longvilliers wpadła do niej.

— Och! zawołała oddychając silnie i rzucając się na fotel, a to dopiero!.. Przybiegłam tu ochłonąć z gniewu i złego humoru... Wszak jesteśmy same... nikt nie może słyszeć co mówimy?

— Nikt a nikt.

— No! masz tam tobie!.. pan de Liminges odjechał!..

Serce Eliany tak gwałtownie bić zaczęło, że chwilę nie mogła przemówić.

— Raynold... odjechał? wyszeptała nareszcie.

— Tak, o piątej... a Horacy godzinę pierwej,.. Dziś znów rano wyjechał pan do Malsegne!.. ogólna ucieczka — znikli jakby porwani uraganem... Nie bardzo to pochlebne dla mnie i dla ciebie, Eliano. Ale przyznaję że miałabym raczej ochotę śmiać się i żartować z tego, niż łamać sobie głowę nad tem co im się, u licha! stało, gdyby dziadzio nie wziął tego zbyt tragicznie i nie oznajmił że i my mamy dziś jeszcze odjechać.

— Dziś?..

— Tak, dziadek mówi że wyjazd pana domu podczas naszej tu bytności, jest uchybieniem którego znosić nie myśli...

— Ależ, rzeczywiście...,

— Rzeczywiście, odrzekła Konstancya wstając, z dumą na teraz zupełnie usprawiedliwioną, pan margrabia de Liminges nie powinien był zapomniéć o względach i uszanowaniu jakie winien księciu i księżnej de Longvilliers; ale co do mnie, tego tyl-

ko żałuję że nie mogłam mu okazać jak zupełnie jest mi obojętnym... Chciałabym aby nie zachował pod tym względem najmniejszej wątpliwości.

Eliana spojrzała na nią zadziwiona. Jakto, myślała sobie, wczoraj podobał się więcej niż ktokolwiek inny, a dziś jest najzupełniej obojętny?.. Myślała że zostanie jego żoną... (żoną Raynolda!..) a dziś tak łatwo, bez żalu zapomina i nie myśli o nim!.. Czyżby taką jak ona być należało?.. czyż boleść i smutek miałyby być brakiem poczucia godności własnej?..

— Przykro mi tylko, Eliano, że mam się rozstać z tobą, rzekła Konstancya.

— Więc z pewnością macie odjechać?

— A tak, ponieważ dziadek żąda tego z wiadomego ci już powodu. Ale nie mów tego nikomu; dla innych za powód wyjazdu poda list który niby odebrał, zniewalający go do powrotu. Mieliśmy odjechać jutro rano; ale znowu *niby* odebrał telegram, domagający się najśpieszniejszego przybycia; więc pożegnamy się dziś wieczór, o ósmej.

. . . .

Tak więc zakończyć się miało owo zebranie w pałacu d'Erlon, po którem margrabina spodziewała się tak szczęśliwych następstw. Była to pierwsza wielka doznana w jej życiu porażka, tem dotkliwsza że dotykała zarazem i serce i miłość własną. Lecz ponieważ nie mówiono z sobą wyraźnie o zamierzonym związku, a duma księztwa de Longvilliers nakazywała niby nie domyślać się niczego, zatem interesem było stron obu ukrywać doznany zawód, co ułatwiała im wielka znajomość świata i konwenansów towarzyskich. Tak więc, dobrze odgrywając swoją rolę, odjeżdżający wyrażali żal że wcześniej niż zamierzali odjeżdżać muszą, a margrabina żegnała ich z jak największą uprzejmością. Co prawda niezupełnie jeszcze dowierzała swemu niepowodzeniu, i to wiele dodawało jej odwagi.

Konstancya pragnęła odjechać jak najprędzej, gdyż rzeczywiście, choć nie przyznawała się do tego, jednakże postępowanie Raynolda mocno ją obraziło; lecz ponieważ bardzo polubiła Elianę, rozstawała się z nią z prawdziwym żalem, nic się nie domyślając że właśnie ta urocza przyjaciółka była główną choć mimowolną przyczyną, wszystkiego co zaszło.

Co do Eliany, wszystko czego domyślać się mogła, powiększało jeszcze niepokój i cierpienie jakich nigdy dotąd nie doświadczała. Gdy nad wieczorem państwo Longvilliers odjechali, i pałac wczoraj jeszcze tak ożywiony nagle opustoszał, a margrabina, nie potrzebująca udawać, została z nią sama w wielkim salonie, zdawało jej się że jakaś lodowata zasłona rozciągnęła się nad nimi. Z tego co wiedziała, mogła odgadywać po części powód smutku stryjenki, i nie śmiała przemówić do niej, przeczuwając że nietylko przyjdzie jej cierpieć jak gdyby była winną, ale co gorzej, może stawić opór jej woli.

Niedługo przecież zostawała w niepewności. Ciotka zmieniła wkrótce niezwykłą sobie postawę, i prędko ocierając łzy jakie mimowolnie stanęły jej w oczach, skinęła na Elianę aby zbliżyła się do niej.

Margrabina ostatki nadziei pokładała teraz w rozmowie jaką miała mieć z siostrzenicą — pragnęła więc rozpocząć ją niezwłocznie. Od razu więc przystąpiła do rzeczy, tonem macierzyńskiej życzliwości, jakim zawsze przemawiała do niej, z wyjątkiem kilku ostatnich dni. Usłyszawszy nazwisko pana de Trévals, Eliana zarumieniła się, słuchała jednak słów stryjenki z uszanowaniem, nie śmiejąc ich przerwać; lecz gdy zachęcona jej milczeniem, margrabina dodała:

„Widzę, kochane dziecię, że to co mówię nie jest dla ciebie niespodzianką; co dowodzi że pan de Trévals miał słuszność mówiąc iż nie chciałaś słuchać jego oświadczenia bez mego upoważnienia — co pochwalam najzupełniej, — ale że upoważniłaś go aby prosił mnie o twoją rękę..."

Eliana prędko podniosła głowę, mówiąc żywo.

— Rzeczywiście nie chciałam słuchać oświadczenia pana de Trévals, ale omylił się najzupełniej sądząc że zezwalam aby oświadczył się o mnie stryjence. Broń Boże...

— Broń Boże... powtórzyła przerywając margrabina; i dla czegóż to, Eliano, dodała z zadziwieniem i niezadowoleniem. Pan de Trévals może się podobać; jestto człowiek zacny, dystyngowany, bardzo bogaty, zajmuje świetne stanowisko, a uczucia jakie powziął dla ciebie powinny ci pochlebiać... Posłuchaj mnie, Eliano, wszak jesteś przekonaną że cię kocham, pozwól mi więc kierować sobą, gdyż sama nie znasz świata ani życia... proszę cię o to— a nawet wymagam.

Mogła mówić tak długo, gdyż Eliana nic nie odpowiadała, a w pokoju tak już było ciemno iż margrabina nie widziała jej zmienionej twarzy. W tem nagle chmury się rozsunęły, blask księżyca padł na okno i róg salonu w którym rozmawiały. Blade jego światło oświetliło twarz dziewczyny, śmiertelnie bladą i zalaną łzami.

— Wielki Boże! co ci się stało, Eliano? czego płaczesz? zawołała niespokojna margrabina. Czyś słaba?.. Zadzwonię aby zawołano panny Sylvestre i podano światło.

— Nie! nie! stryjenko, przez litość nie wołaj nikogo... nie każ podawać światła... może w ciemności prędzej odważę się ściągnąć na siebie twoje niezadowolnienie... a odwaga jest mi niezbędną... Stryjenko droga, zawołała klękając przed margrabiną i ujmując jej rękę, nie mów mi o zaślubieniu pana de Trévals lub kogobądź innego... Nie chcę iść za mąż... chcę pozostać przy tobie... we wszystkiem co zechcesz zawsze posłuszną ci będę, ale w tem jednem *nigdy!*

Po raz już drugi w tym dniu wyraz ten odbijał się o margrabiny uszy — a tak nie przyzwyczajona była go usłyszeć; wprawdzie obecnie wypowiedziany był głosem nader dźwięcznym, ale równie stanowczo.

Probowała jednak przeciwstawić tej młodocianej woli, swoją silną i zahartowaną, aż do tej chwili zawsze górującą nad innemi

— A gdybym ci powiedziała, rzekła rozkazująco, iż będąc przekonaną że działam dla twego dobra, bezwarunkowo wymagam posłuszeństwa?

— Odpowiedziałabym ci, kochana stryjenko, odrzekła stanowczo choć łzy głos jej tłumiły — że gdybyś nawet uciekła się do najsurowszych środków, choćbyś oddaliła mnie od siebie, pozbawiła twego i Bianki przywiązania — jedynego dobra jakie mi pozostaje na świecie — wszystko to nie zdołałoby zmienić mego postanowienia...

Margrabina zrozumiała że wola opierająca jej się w tej chwili, jest równie silna jak jej własna; niezłomniejsza niż jej syna. Raynold przed kilka godzinami także powiedział „nigdy" i ustąpiła mu widząc że obecnie nie zdoła przemódz jego postanowienia, ale nie traciła nadziei że ulegnie on kiedyś — ale gdy Eliana wypowiedziała ten wyraz zrozumiała że go nie cofnie. Trzeba więc było wyrzec się projektu tak pożądanego; którego urzeczywistnienia tak pragnęła, z jego bowiem spełnieniem inne łączyła nadzieje.

Tak więc jeden jeszcze bolesny zawód łączył się do już w tym dniu doznanych; tem boleśniejszy że podejrzywała powód odmowy, choć dopuszczać go ani rozważać nie chciała, aby nie dodawać ważności temu co w jej oczach było czemś mniej znaczącem jeszcze niż fantazya młodego człowieka,—urojeniem dziewiczej wyobraźni.

Milczała czas jakiś, poczem rzekła poważnie;

— Nieroztropnie cię wychowano, Eliano, widzę ze smutkiem, że jesteś romantyczna, a źle to bardzo dla ciebie... Ale rób co chcesz — napiszę dziś wieczór do pana de Trévals że mu odmawiasz.

Wypowiedziawszy to lodowatym tonem, margrabina przeszła do swego pokoju, nie pozwalając synowicy towarzyszyć sobie.

Dopiero znalazłszy się samą w swoim pokoju, Eliana mogła zdać sobie sprawę ze wszystkiego co ją w tym dniu spotkało. Przed chwilą, w obec stryjenki, pomimo największych usiłowań nie mogła powstrzymać łez gwałtem cisnących się do jej oczu, teraz już nie płakała — wszystko przedstawiało jej się jasno. Wszystko co w ciągu dnia nawpół tylko rozumiała, teraz tłomaczyło się jedno drugiem. Raynold ją kochał, tak, czuła to i mówiła sobie bez ogródki, ale z boleścią i bez uniesienia. Nie chciała pieścić się tą myślą, nie chciała łudzić się uroczem marzeniem ani też rozczulać nad sobą, ale przeciwnie rozważyć zimną rzeczywistość i trudność swego położenia.

Zamiary margrabiny o jakich dowiedziała się od Konstancyi; zachęcająca tejże uprzejmość dla pana de Trévals, boleść Raynolda, jego rozpacz i wyjazd wszystko to dowodziło Elianie, jak *nieprzezwyciężone* dzielą ich przeszkody...

Tak, *nieprzezwyciężone* o tem nie mogła wątpić. Nie darmo przebyła rok w domu stryjenki aby nie wiedziała jak nieodwołalne są jej postanowienia. Oceniała je właściwie, bez żadnej ujmy, nie starając się zaślepiać co do ich następstw; nie dość na tem, stawała prawie po stronie matki Raynolda, tak przeciw niemu jak przeciw sobie. Uznawała że bezwarunkowe posłuszeństwo dla matki tak rozumnej, zacnej i dobrej, było najświętszym obowiązkiem syna; że byłby niewdzięcznym gdyby go nie spełnił...

Siedziała przy wielkiem otwartem oknie, wpatrując się w pogodne, gwiaździste niebios sklepienie lekki wietrzyk igrał z jej włosami. Od dzieciństwa lubiła wsłuchiwać się w głębokie, pełne tak wymownych głosów milczenie przyrody, oraz wpatrywać się w tajemnicze światło gwiazd, tych tak niezbadanych światów.

Wspominaliśmy już nadziemskie myśli i pragnienia łatwo wnikały do jej duszy, od kilku jednak dni niebiańskie te posłanniczki nie pojawiały się jakoś, nie kołatały do jej serca i umysłu, teraz czuła że powracają do niej...

Nazajutrz rano, Eliana klęczała obok panny Sylvestre na Mszy św. która w dnie poprzednie odprawiała się o szóstej rano. Tak ranna godzina była powodem że dotąd nie bywała na niej.

— Tak rano dziś wstałaś, Eliano! rzekła cicho stara jej przyjaciółka.

— Zaniedbałam dobre moje nawyknienia, odrzekła poważnie, teraz powracam do nich.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN.

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

I

Jesteśmy w Rzymie, i dlatego pomimo że było to w listopadzie i przy schyłku już dnia, wszyscy wyjeżdżali na przechadzkę w odkrytych powozach, jak w lecie. A jeżli niektórzy z panów, obeznani z klimatem i z tego powodu ostrożniejsi, kładli na siebie paltoty, gdy w kościołach zadzwoniono na Anioł Pański, a kobiety otulały się nietylko szalami ale nawet futrami, to dla tego że jakkolwiek te ostatnie godziny dnia są niekiedy najpiękniejsze, bywają często zabójcze dla zbyt ufających zdradliwemu ich powabowi.

Wśród powozów snujących się w tej porze na *Pincio*, odznaczał się szczególniej jeden, tak pięknością koni, jak szlachetną elegancyą siedzącej w nim kobiety, pięknej jeszcze, choć już nie pierwszej młodości. Wsparta z wdzięcznem zaniedbaniem na poduszkach, odpowiadała uprzejmem skinieniem głowy, na liczne oddawane jej ukłony.

Była to księżna Hermiona Mazzolini, której salon był jednym z najpierwszych w Rzymie, w tej epoce gdy wyższe towarzystwo rzymskie składało się z wyboru towarzystw europejskich.

Nagle księżna opuściła sobolową mufkę, którą zasłaniała usta uczuwając zimniejszy powiew wiatru, i wyprostowawszy się obejrzała się z zadziwieniem: młody mężczyzna idący śpiesznie piechotą, ukłonił jej się po chwili wahania.

— Czy być może? Czy to on w istocie, czy ktoś tylko do niego podobny? szepnęła. Ale nim miała czas obejrzéć się za nim, już znikł na schodach prowadzących na Plac hiszpański.

Księżna była widocznie zaintrygowana tem spotkaniem, i gdy w parę minut później jeden z przechodniów złożył jej głęboki ukłon, kazała stanąć i przywoła go skinieniem ręki.

— Zbliż się, panie Loriani, rzekła, a teraz najpierw włóż kapelusz, inaczej mógłbyś zachorować.

Przywołany nakrył natychmiast głowę, i rzekł opierając się o drzwiczki z poufałością połączoną z uszanowaniem:

— Co księżna rozkaże?

— Chciałabym dowiedzisć się czegoś takiego, co łatwiej będziesz mógł wyśledzić niż ktoś inny.

— Czekam na rozkazy.

— Spotkałam przed chwilą na Pincio młodego człowieka który mi się ukłonił..

— *E poi?* Dotąd nie ma w tem nic...

— Nie przerywaj mi: ukłonił się ale po chwili wahania, jak ktoś nie życzący sobie aby go poznano.

— Założyłbym się, rzekł Loriani, że to był *il bel Rinaldo.*

— Rinaldo! zawołała księżna: ten nieznajomy był właśnie podobnym do Raynolda de Liminges.

— Bo też to on był z pewnością.

— Niepodobna!.. Nie ma go obecnie w Rzymie.

— Księżna się myli, jest tu, wczoraj dowiedziałem się o tem przypadkiem.

— Raynold de Liminges w Rzymie!.. I nie odwiedził mnie?.. Zdawał się zmieszanym spotkaniem ze mną... Co to może znaczyć?

— *Chi lo sa?* rzekł Loriani. Ale z wyrazu jego twarzy trzeba było wnosić, że może więcej wie niż chce powiedziéć.

— Nie sądzę, rzekła księżna Hermiona, abyś chciał ukrywać przedemną coś co wiedziéć pragnę, co mnie zaciekawia i daje wiele do myślenia.

— *Che vi pare?* Nie odważyłbym się na coś podobnego.

— A więc powiedz mi dlaczego ukrywa się w Rzymie jakby jaki spiskowiec?

— O! długa to historya! Niepodobna opowiedzieć jej tak naprędce, stojąc na ulicy.

— W takim razie przyjdź dziś wcześniej do mnie; do dziesiątej godziny będziem sami, nikt nam nie przeszkodzi rozmawiać swobodnie. Staraj się dowiedziéć jak najwięcej, i opowiedz mi wszystko jak najobszerniej.

— Dołożę wszelkich starań aby zadowolnić księżnę.

— Rachuję na to. *A revederci maestro.*

— Uniżony sługa.

Maestro Vincenzo Loriani dotrzymał słowa, i przed dziewiątą jeszcze wszedł do pałacu Mazzolini. Księżna powiedziała mu że będą sami, i rzeczywiście nie zastał w salonie nikogo, prócz pana i pani domu, ich dwóch synów i trzech córek, księdza, nauczyciela pierwszych, Francuzki zajmującej się wykształceniem drugich, sekretarza księcia, bibliotekarza, jałmużnika i starego przyjaciela, przychodzącego do nich codzień na obiad, ponieważ uważali to za rzec naturalną, aby będąc starym, ubogim i samotnym znalazł pod ich dachem to wszystko czego nie miał u siebie.

Salon w którym się znajdowali był wspaniałym bez błyskotliwego przepychu. Sklepienie zdobiły freski, a obrazy najpierwszych mistrzów włoskich pokrywały ściany.

Jak widzimy, Loriani zastał tam tylko rodzinne kółko, zawsze jednak zbyt liczne aby można było przystąpić w obec niego do podobnego opowiadania. Mówiono więc o rzeczach potocznych aż do pół do dziesiątej, to jest do czasu w którym wszyscy wyszli z salonu, prócz księcia, księżnej i Komandora Pompeo Gorgoni. Księżna zawołała wtenczas z żywością:

— Teraz możesz już mówić, panie Loriani.

Loriani był to człowiek otyły, czterdziestopięcio letni, z twarzą rozumną, nie noszącą jednak śladów geniuszu. Byłoby coś niepokojącego w jej przeni-

kliwem i trochę szyderczem spojrzeniu, gdyby usta nie zdradzały dobroci stanowiącej główną podstawę jego charakteru. Jako znany kompozytor i muzyk, oraz jako człowiek ukształcony i posiadający ułożenie wyższego towarzystwa, którem dzięki pełnemu taktu postępowaniu, wyrobił sobie wyjątkowe stanowisko, spędzał przyjemnie życie już to w salonach arystokratycznych, już w świecie artystycznym, do którego należał tak z prawa urodzenia jak niezaprzeczonego talentu.

— Jestem zmuszony wyznać, że nie wiele więcej mogę powiedzieć nad to, że Raynold jest tu już od sześciu tygodni.

— Jaki Raynold? zapytał książę. Czy mówisz o Raynoldzie de Liminges który dwa lata temu był u nas codziennym gościem.

— Tak, o nim właśnie mówimy.

— Co to przyrzekał często przyjeżdżać do Rzymu... i tak widocznie składał ci hołdy, Hermiono?

— Mówisz to o wszystkich bywających u nas, Peppino.

— Ale to też... odpowiedział z galanteryą książę.

— Więc to ten, co to jak na Francuza, mówił zadziwiająco dobrze po włosku, rzekł Komandor.

— Tak, ten sam.

Dla czegóż, skoro jest w Rzymie, nie odwiedził nas jeszcze?

— Tego właśnie pragnę się dowiedzieć, i Loriani odkryje nam powód tak dziwnego postępowania.

— Muszę jednak wyznać że sam nie wiem nic pewnego, i nie mogę udzielić żadnych szczegółów, rzekł Loriani. To tylko zdaje się pewnem, że idzie tu o jakąś nieszczęśliwą miłość, i że Rinaldo podróżuje ciągle przeszło od roku. Zwiedził Azyę, Afrykę, słowem jak szalony obiega świat cały o tyle unikając świata o ile lubił go dawniej, i to zarówno w Paryżu jak w Rzymie... Odkąd tu bawi, odbywa co dzień raniutko długie przechadzki, unikając starannie miejsc w których mógłby spotkać kogoś ze znajomych, a wieczory spędza u starego profesora Biagio Maryni.

— U tego uczonego Biagio Marini?... sławnego komentatora Danta? zapytał Komandor.

— Tak; zdaje się że Rinaldo oddaje się wraz z nim głębokim studyom nad dziełami *altissimo poeta* i że stanowi to obecnie jedyną jego rozrywkę i jedyne zajęcie.

— Dziwna rzecz! Jakimże sposobem dowiedziałeś się o tem?

— Po części od młodego artysty z Akademii francuzkiej, który jest przyjacielem moim i margrabiego de Liminges, a po części od tego hultaja Taddea Marini, impresaria, tak pod każdym względem niepodobnego do brata. Spotkałem go wczoraj, i mówiąc ze mną o swej synowicy córce Biagia...

— Aha!... profesor ma córkę!... zawołał książę.

— Tak, odpowiedział Loriani, ma córkę której dawałem lekcye śpiewu. Ma głos prześliczny.

— O! w takim razie wszystko staje się zrozumiałem, rzekł Komandor.

— I tajemnica przestaje być dla nas tajemnicą, dodał książę.

— O! nie, myli się książę.

— Wszakże idzie tu o jakąś nieszczęśliwą miłość, rzekła księżna.

— No! jedno nie przeszkadza drugiemu, odezwał się książę.

— Powtarzam że tu nie zachodzi nic podobnego, rzekł Loriani. Biagio Marini czuwa troskliwie nad córką, i nie przyjmowałby u siebie Rinalda, gdyby ten, choćby tylko nazbyt jej się przypatrywał. Nie dziwiłoby mnie nawet, gdybym się dowiedział że nie zna jej wcale.

— Biedny Rajnold!... Boleść jego musi być wielka, skoro go tak przeistoczyła... Ale czemu przynajmniej nie przyszedł użalić się przedemną..

— Zapewnie dla tego że szuka samotności, a wie że nie znalazłby jej w pałacu Mazzolini.

Jakby na potwierdzenie tych słów Loriani'ego, służący oznajmił najwcześniejszych gości, i wkrótce, zawsze otwarty i ożywiony salon księżnej Hermiony, zaczął się napełniać świetnem, kosmopolitycznem, towarzystwem, jakiego nie znalezionoby w żadnem innem mieście. W owych czasach, większa część cudzoziemców przybywających do Rzymu, już od tylu lat spędzała tam każdą zimę, że nie można ich było zaliczać do zwykłych podróżnych. Prócz tego, mało kto z będących tam po raz pierwszy, nie obiecywał sobie że wróci jeszcze do tego starożytnego grodu, dla tego też zawiązywano chętnie życzliwsze stosunki, i nic w Rzymie nie przypominało tych miejsc w których towarzystwo łączy się na parę miesięcy, a potem żegna nie zamierzając spotkać się z sobą więcej.

Salonowi księżnej Hermiony dodawał jeszcze uroku ten wdzięk jaki roztacza koło siebie kobieta pełna powabu, rozumna i mało zajmująca się sobą; która nie posiadając nader wysokiego wykształcenia, jednak dzięki ciągłej styczności z ludźmi światłymi lub sławnymi, nabyła tyle wiadomości że mogła rozmawiać o wszystkiem.

Rajnold był jednym z najczęstszych gości w pałacu Mazzolini, w ciągu zimy którą przepędził w Rzymie, w tym samym roku w którym następnie na wiosnę poznał Elianę. Ileż to razy później, marząc o szczęśliwej przyszłości, obiecywał sobie że powróci tam w przyszłym roku, już z ukochaną towarzyszką życia! Jeśli życie w Rzymie było tak przyjemnem dla niego gdy tam był sam tylko, jakże się stanie upajającem skoro ona dzielić je z nim będzie! W takim razie przypomni się z pewnością księżnie Hermionie... Eliana jest stworzoną do tak świetnego towarzystwa jakie tam znajdzie... Niestety! przeznaczenie kazało mu tam wrócić w zupełnie odmiennych warunkach, i to dopiero po piętnastu miesiącach ciągłej wędrówki po świecie, gdy wreszcie uczuł potrzebę spoczynku fizycznego i moralnego. Jednak nie mógł tam już prowadzić takiego jak dawniej życia, w usposobieniu jego zaszła zupełna zmiana. Cierpiał więcej niż to przewidywała matka jego; więcej niżby sam to przypuścić zdołał. Nie doznał dotąd nigdy rzeczywistej przeciwności, a tem więcej prawdziwego smutku, i nie należał do osób umiejących cierpieć w milczeniu, których duszę uszlachetnia jeszcze tłumiona boleść, gdyż prawie gniewał się na siebie za swoją stałość przynoszącą mu tyle cierpienia. Pragnął zapomnieć! i uciekał się w tym celu do wszelkich możliwych sposobów, wyjąwszy uwłaczających uczuciu napełniającemu je szczerze jego serce, i pomimo wpływu czasu i oddalenia oddziaływającego zbawiennie na jego duszę.

Tak przeszło rok upłynął. Rajnold pisywał dość często do matki i Armanda; do pierwszej listy pełne uszanowania, do drugiego niekiedy gwałtowne i malujące dokładnie jego uczucia. Ale margrabina i Malseigne unikali teraz wspólnej o nim rozmowy. Pierwsza, jakkolwiek smuciło ją tak długie rozłączenie, łudziła się ciągle nadzieją że przyniesie pożądane dla niej skutki; drugi gonił niespokojnie myślą za szukającym zapomnienia gdzieś w dalekich krainach, ubolewając zarazem nad tą która cierpiała obok niego cierpliwie i w milczeniu.

To co Vincenzo Loriani mówił o Rajnoldzie, zgadzało się zupełnie z prawdą. Skoro sześć tygodni przedtem przybył do Rzymu, zgłosił się, pomijając zresztą wszystkich swych dawnych znajomych, do młodego artysty z Akademii francuzkiej, nazwiskiem Myriel, z którym zaprzyjaźnił się w czasie swej pierwszej tam bytności. Ten młody człowiek był nie tylko znakomitym już malarzem, ale także artystą w najwznioślejszem znaczeniu tej nazwy, to jest że sztuka nie była dla niego zamkniętą świątynią, ale wysokością do której szczytu podnosiły go nauki, poezya, a nadewszystko wiara.

On to znalazł dla Rajnolda gustownie i poważnie urządzone mieszkanie na Forum, z wejściem przez arkady otaczające klasztor, po za któremi na środku dziedzińca wznosił się marmurowy wodotrysk. Trudno byłoby znaleść coś odpowiedniejszego do usposobienia Rajnolda, nad to ciche schronienie.

On to wprowadził Rajnolda do Biagia Marini, którego był także uczniem, i od tego czasu Rajnold stał się codziennym gościem uczonego profesora.

Marini zajmował dość obszerne mieszkanie w pobliżu *Ara Coeli*, na najwyższem piętrze starego pałacu. Prowadziły do niego schody ciemne i strome, ale z okien przedstawiał się jeden z tych zachwycających rzymskich widoków, któremi wzrok nigdy się nasycić nie może.

Raynold przychodził tam co rano dla przeczytania jednej pieśni „Boskiej Komedyi,” którą profesor objaśniał mu następnie, i wracał znów wieczorem, ponieważ rozmowa ze starym Biagio zajmowała go i w obecnej chwili, była dla niego najodpowiedniejszą. Profesor posiadał niewyczerpaną pamięć i wszechstronną naukę. Często i wieczorem także Marini otwierał dzieło ulubionego poety, i już nie jako komentator, ale jako zapalony wielbiciel wybierał jakiś ustęp nieśmiertelnego poematu, i aby uczeń mógł ocenić go lepiej, deklamował głośno, z prześliczną wymową właściwą tylko Rzymianom. Wtenczas głos starca stawał się dźwięcznym i silnym, twarz blada i pomarszczona pokryła się prawie młodzieńczym rumieńcem, zapadłe i przygasłe oczy błyszczały ogniem.

II

Biagio Marini miał prócz Raynolda innych jeszcze uczni, którym poświęcał cały poranek, ale po wieczornem *Ave Maria* żaden z nich nie miał już wstępu do jego mieszkania; był to wyłączny przywilej Raynolda. Profesor przyjmował go w obszernym pokoju stanowiącym jego gabinet, którego całe umeblowanie składało się z szaf z książkami otaczających ściany, z kilku krzeseł z wysokiemi poręczami, niegdyś złoconych a dziś już poczerniałych, i wielkiego stołu na środku pokoju, założonego papierami i książkami, oświetlonego wiszącą lampą.

Pewnego wieczora, Raynold odnosząc książkę do biblioteki, spostrzegł gitarę zawieszoną na ścianie w rogu pokoju, na szerokiej błękitnej wstążce. Patrzył na nią czas jakiś z zadziwieniem, a potem lekko poruszył struny. Zadźwięczały pod jego palcami, a stary profesor podnosząc nagle głowę schyloną nad książką, odezwał się z pewnem wzruszeniem:

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 6.

(Dokończenie).

N. 25. Suknia zdobna kwiatami.

Suknia jedwabna i stanik bawetowy sznurowany z tyłu i dopełniony suto odstającym karoczkiem, przybrane są bardzo efektownemi kwiatami wytłaczanemi en relief z atłasu. Kwiaty te przy staniku stanowią bertę podgarnirowaną koronką.

N. 26. Suknia fałdowana.

Spódnica, o ile odsłania ją draperya ułożona jest w kontrafałdy, zakończone szerokim wolantem koronkowym 15 cent. szerokim; lekko przerzucona draperya, zapięta niewidocznie z boku, ułożona jest z jednego długiego bryta i przyczepiona n wierzchu stanika. Berta suto fałdowana przypięta jest na staniku, rzędem kokardek idących od lewego ramienia. Materyał na to ubranie stanowi jedwabna grenadyna blado niebieska, przerabiana w paski.

N. 27. Suknia z wyciętym bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 17 w N-rze 5. Krój na arknszu N. III, fig. 13—19.

W ubraniu tem zasługuje na uwagę, łatwy do doskonałego dopasowania stanik bawetowy, złożony z wielu części, gdyż przody i plecy liczą po cztery kawałki i boczki są podwójne. Krój daliśmy na fig. 13—19 a dwie odmiennego układu berty przedstawiają ryc. 27 w N rze 6 szym i 17 w N-rze 5. Spódnica zakończona plisowaniem 20 cent. szerokiem, przykryta jest prawie całkowicie długą, szeroko skośnie rozchodzącą się draperyą, która z jednego boku spuszcza się prawie gładko, z drugiej zas strony przepięta w sute bufy odzi się z tylnym brytem. Na te bufy podtrzymane kokardami dodany oddzielny brycik 140 cent. długi a 35 szeroki. Garnirunek wachlarzowy przy tunice dany jest z tej samej koronki co berta. Ubranie balowe jakie przedstawia ryc. 27 było z blado żółtej materyi surah, z hiszpańską koronką tegoż koloru.

N. 28. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Do spódnicy plisowanej z gładkiego kaszmiru, tunika i stanik są z materayłu deseniowego. Na tunikę potrzeba dwóch brytów: przedniego z jednego boku opuszczonego do dołu, z drugiej strony ściśle sfałdowanego i odsłaniającego bok plisowanej spódnicy i tylnego prostego bryta suto podpiętego. Garnirowanie z koronki tworzy na staniku oryginalną kamizelkę, u dołu baskiny i przy tunice ułożone jest w kontrafałdy. Pasek z szerokiej aksamitki związanej z boku.

N. 29 tudzież r. 12—13 w N-rze 5. Kołnierzyk stojący i mankiet. Haft wenecki.

Już niejednokrotnie opisywaliśmy haft wenecki i podawali desenie, dla nowych prenumeratorek dajemy jednak znowu niektóre wskazówki jak tego rodzaju robocie nadać pozór starożytności, który dodaje jej ceny. Ażeby płótno miało odcień żółtawy, jakiego nabywa przez długoletnie leżenie, trzeba przyfarbować je w kawie lub herbacie; takiż kolor powinien mieć jedwab lub bawełna użyta do przydziergania złotej nitki. Ażeby robota była efektowna i kontury równe i gładkie potrzeba deseń wyciąć przed zaczęciem dziergania; chcąc zabezpieczyć od strzępienia się brzegów, trzeba całe tło płócienne delikatnie od lewej strony pociągnąć gummą, a po wyschnięciu i starannem wycięciu deseniu przyfastrygować do ceratki, jak to widzimy na ryc. 13. Dzierganie dane wierzchem podwójnych nitek, z których jedna zakłada się w pikoty (patrz r. 13 w N. 5). Do takiej roboty nici złote powinny być w jak najlepszym gatunku, ażeby się nie łamały i dobrze odróżniały od jedwabiu. Po skończeniu kołnierzyk i mankiety oszywa się z brzegów wąziutkim brzeżkim złotym, podług ryc 29.

N. 30—31. Kołnierzyk wykładany i mankiet. Patrz ryc. 21 w N-rze 5.

Garnitur przedstawiony na ryc. 30—31 składa się z wązkich pasków cieniutkiego płótna lub batystu, ozdobionych lekkim hafcikiem i połączonych kratką, podług ryc. 21 w N-rze 5. Potrzeba najpierw długi pasek tła (na modelu dany batyst piaskowy), wydziergać w deseń idący w ząbki, bawełną tego samego koloru, następnie pociąć w wązkie paski, na kołnierz 4 i pół cent. na mankiety 6 i pół cent. długie. Pod każdy pasek przyfastrygowywa się równo dopasowany kawałek podszewki, poczem paski te naszywa się na kawałku ceraty, podług formy kołnierzyka i mankieta i łączy je kratką z cienkich nici szpulkowych, zajmując każdy ścieg równo za wierzch i podszewkę. Dolny brzeg wycięty w ząbki otacza się sznureczkiem pokrytym batystem, przyszytym również wąziutką krateczką; górny brzeg wszyty w prosty pasek 3 c. szeroki.

N. 32. Rozeta jedwabna do przybrania sukien.

Może być użyta zamiast kwiatów lub kokard i układa się ze skośnego kawałka materyału 68 cent. długiego a 10 szerokiego, który składa się we dwoje i marszczy



N. 1. Suknia ze stanikiem bluzkowym. N. 2. Suknia ze stanikiem z długą baskiną. N. 3. Suknia z krótkim stanikiem. Patrz r. 41 oraz r. 32 w N-rze 8.

ze strony przeciętej. Środek rozety dodany z oddzielnego kawałka.

N. 33—34. Pudełko na rękawiczki. Deseń patrz na arkuszu fig. 32—34.

Ryciny 32—34 przedstawiają otwarte i zamknięte pudełko na rękawiczki 52 cent. długie, odrobione z drzewa matowego. Pudełko takie może być ozdobione z wierzchu rzeźbą. haftem na aksamicie, safianie lub t. p. albo z wierzchu i z boków wprawione są tafelki metalowe, wypalone w deseń serwaserem. Fig. 32—34 dają desenie odpowiednie do wypalania; opis szczegółowy tej roboty dawaliśmy niejednokrotnie w Tygodniku Mód z roku 1880 i 81.

N. 35. Ubranie dla dziewczynki lat 5—7.

Długi paletocikowy stanik uszyty z aksamitu jest u dołu wycięty w patki objęte atłasową wypustką. Kołnierzyk wykładany i kieszonki oszyte podwójną wypustką; rękawki zakończone plisowaniem 2 cent. szerokiem. Spódniczka plisowana z materyału wełnianego w kratę.

N. 36. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7.

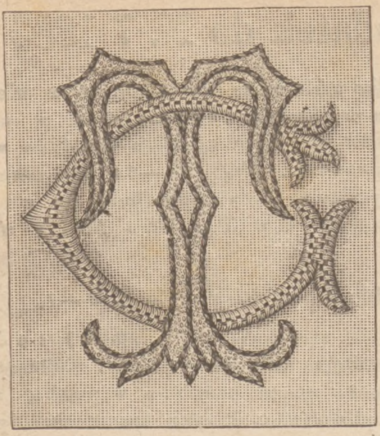
Uszyte z ciemnogranatowego, mięsistego wełnianego materyału składa się z majteczek przypiętych do spodniego staniczka i z bluzki zmarszczonej u dołu na elastykę. Przybranie stanowi pletnia 4 i 1 cent. szeroka, guziczki złote.

N. 37—38. Sukieneczka wycięta dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—12.

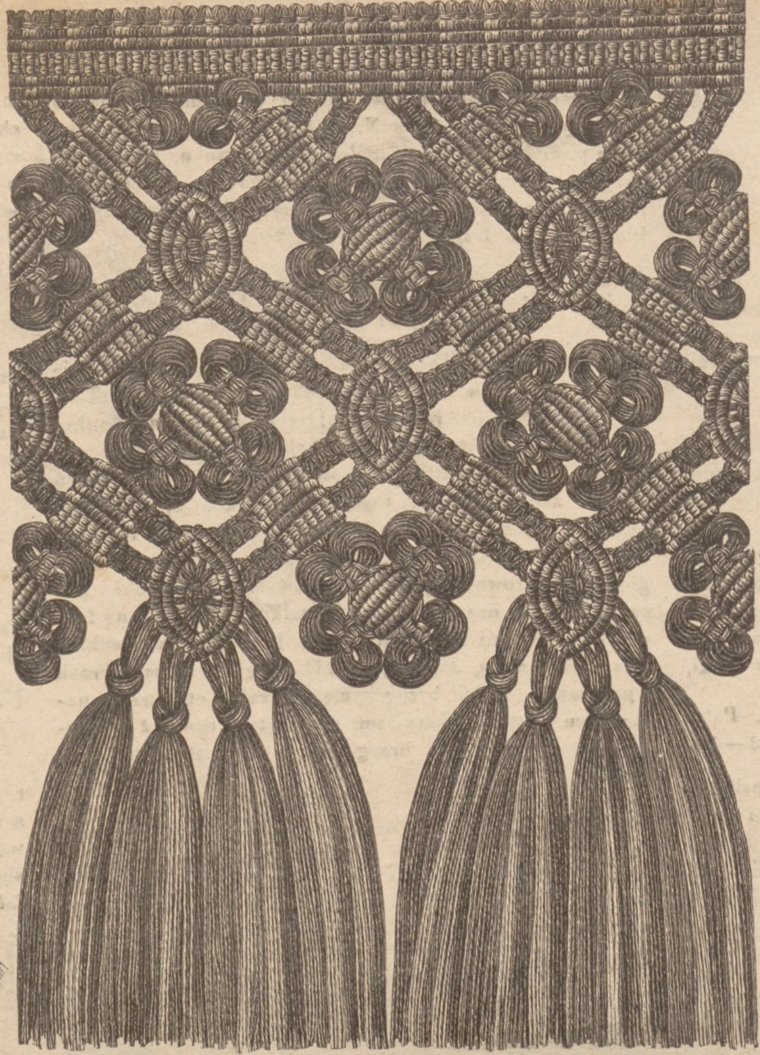
Ryc. 37 przedstawia przód sukieneczki z granatowego aksamitu, ozdobionej wyszyciem z niebieskiego sutaszu, a ryc. 38 plecy sukienki z materyału w kratę, naszytej wązką aksamitką. Gładką podszewkę pod plastron kraje się podług fig. 7, wierzch zaś zaplisowany jest w drobne fałdki u góry i u dołu przytrzymane pliską z wyszyciem. Zapięcie dane niewidocznie z boku. Falbana plisowana stanowiąca spódniczkę, układa się z kawałka 11 c. szerokiego a 200 długiego, kieszonki proste 10 cent. długie a 8 szerokie.

N. 39. Serweta lub kapa. Haft kolorowy na płótnie. Desenie patrz na arkuszu N. 1—4.

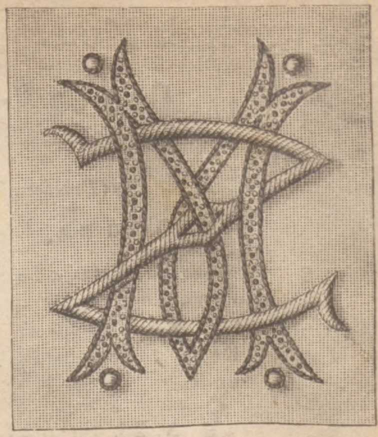
Materyał: mocne grube płótno; jedwab albo kordonek; kolorowe nici lub bawełna. Ryc. 39 przedstawia w maleńkim formacie całość efektownej serwety odrobionej podług pięknego starożytnego wzoru, zaś N. 1—4 na arkuszu z krojami dają w naturalnej wielkości część tła szlaku i narożnik. Na tych deseniach mamy z całą dokładnością wskazane różnorodne odmiany ściegów haftu, z których każdy jest pięknym w swoim rodzaju i może być użyty stosownie do osobistego gustu, ale całość serwety powinna już być jednostajną. N. 1 przedstawia część deseniu na tło środkowe, odrobione ciemno złotawem jedwabiem albo nicią; kontury obwodzą się ściegiem sznureczkowym lub łańcuszkowym. Wspaniałość i efekt roboty zależy na rozmaitości ściegów, użytych do zapełniania arabesków i kwiatów; widzimy więc ścieg łańcuszkowy. płaski, gobelincowy, krzyżowany i t p. Jeżeli haft chcemy zrobić jednym kolorem, w takim razie kontury odznacza się ponsowym lub granatowym, a środki zaszywa białym. N. 3 i 4 dające część szerokiego szlaku i narożnik, odrobione są różnokolorową filozelą; większe części deseniu zapełnione są ściegami płaskiemi, w rzędach wchodzących jeden w drugi lub hafcie renaissance, łodyżki i gałązki robią się ściegiem płaskim zajmowanym skośnie. Szczegółowy opis ściegu renaissance daliśmy w r. 1879. Frendzla kręcona jedwabna, 4 cent. szeroka, zastosowana do kolorów użytych do haftu otacza brzegi serwety i przyszywa się na wierzchu wązkiego obrąbka.



N. 4. Monogram do chustki od nosa. Haft biały i kolorowy.



N. 6. Frendzla robotą wiązaną (macramé). Patrz r. 7—8.



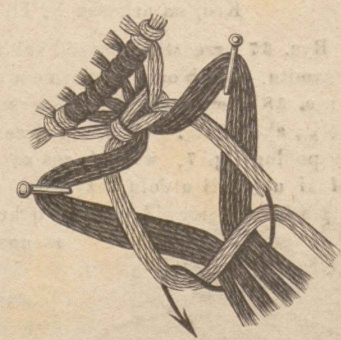
N. 5. Monogram do chusteczki od nosa. Haft biały i kolorowy.

Opis do N-ru 7.

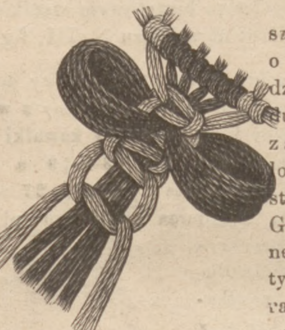
N. 1—3. Ubrania domowe.

N. 1. Suknia ze stanikiem bluzkowym.

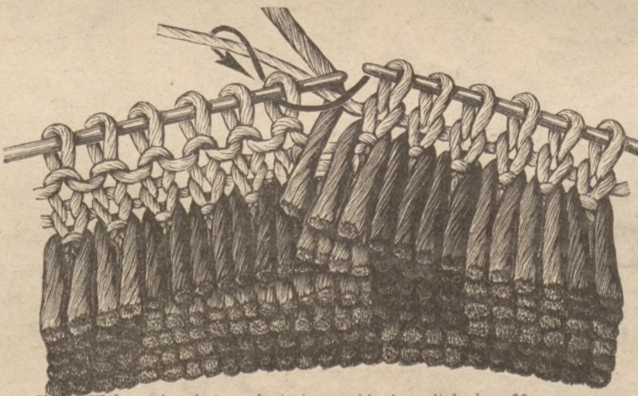
Do blado niebieskiej sukni „z voile religieuse“, kołnierz, mankiety, pasek zakończony z tyłu długą szarfą i plisa przy fałdowanej spódnicy, dane są z aksamitu ciemno bordo. Fartuszkowa tunika dopełniona z tyłu suto podpiętym brytem prostym, przyszyta jest u dołu na spódnicy szwem odwracanym, a w górze drobno przyfałdowana w ten sposób jak gdyby stanowiła dalszy ciąg bluzki, która podchodzi pod pasek od spódnicy. Bluzkę zrobioną na gładkiej podszewce przymarszcza się równo z tyłu i z przodu i zapina z tyłu na małe guziczki.



N. 7. Zawiązanie pukielków w nagłówku frendzli ryc. 6.



N. 8. Zawiązanie płaskich podwójnych węzłów w nagłówku frendzli ryc. 6.



N. 13. Wykonanie roboty na drutach z wrabianiem nitek, do r. 11.



N. 9. Sukienka z bluzką dla dziewczynki lat 8—10.



N. 10. Suknia z przemarszczonym plastronem, dla dziewczynki lat 8 -10.

N. 2. Suknia ze stanikiem z długą baskiną.

Model sukni przeznaczonej dla młodej panienki, odrobiony był z blado różowego kaszmiru; na spódnicy zaplisowanej w koło w szerokie fałdy, fartuszkowa tunika oszyta gładko żółtawym szlakiem haftu szwajcarskiego, jest bardzo krótko podpięta z boku. Plecy stanika kraje się razem z długą baskiną, a do boczków i przodów dodana oddzielna w kontrafałdy ułożona baskina, oszyta szlakiem haftowanym, z którego daje się kołnierzyk, mankiety i część wstawioną w przody stanika.

N. 3 i 41 oraz ryc. 32 w N. 8. Suknia ze stanikiem z krótką baskiną.

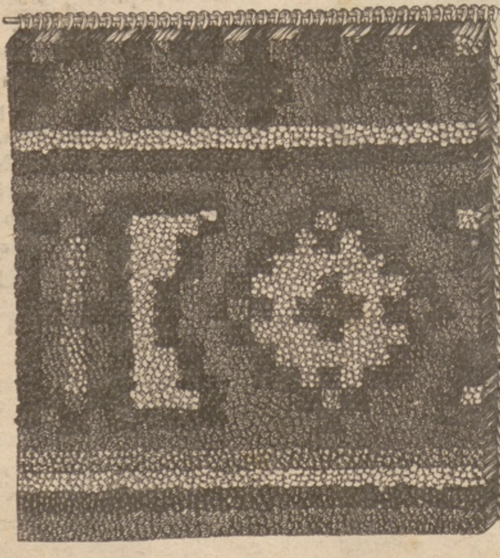
Do sukni z ciemno szafirowego kaszmiru, o ile tunika nie dochodzi, dodany pas z przodu i obłożenie u dołu, z aksamitu takiegoż koloru, którym także stanik jest ubrany. Gładko spuszczone dolne części przednie i tylne tuniki, krają się razem podług miar podanych na r. 41 litera *a*, panier z przodu podług *b* a tylną, górną draperyę podług litery *c*; fałdy oznaczone są krzyżykami i punktami a układ draperyi wskazujemy na ryc. 32 w N. 8. Przody stanika, krótka baskina i wykrój pod szyją obłożone aksamitem; guziki kulkowe z szafirowo szmelcowanej stali i wyszycie sutaszem służą do przyozdobienia.



N. 11. Dywanik robiony na drutach. Naśladowanie smyrneńskich dywanów. Patrz r. 12—15.

N. 4—5 ryc. 26—27 w N. 8. Monogramy do znaczenia bielizny, chustek i t. p. Haft biały i kolorowy.

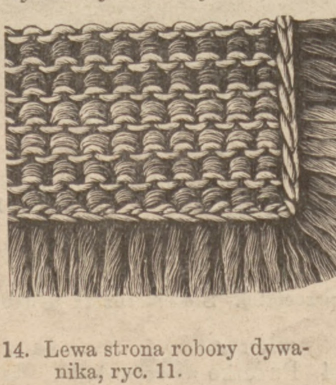
Kontury środkowej litery na ryc. 4 obrobione są ściegiem sznureczkowym, bawełną do haftu, kolorem szafirowym i ponsowym, a tło zapełnione w równych, małych odstępach danemi ściegami supełkowemi albo stębnowanemi, kolorem niebieskim. Druga litera haftowana jest ściegiem płaskim, bawełną białą, z przeszyciem kolorem ponsowym i nie-



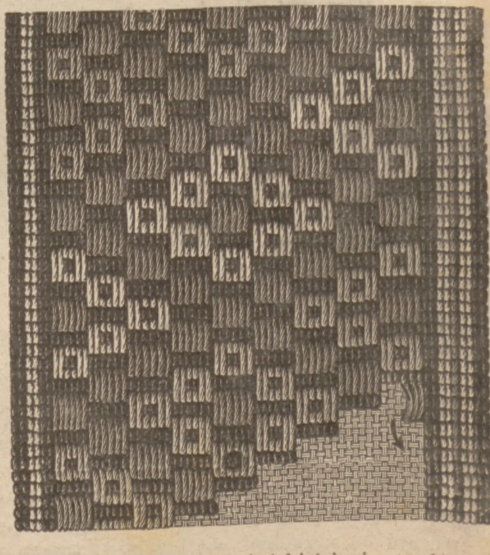
N. 15. Część szlaku i zaczęcie tła do dywanika ryc. 11.



N. 12. Nawinięcie włóczki na nitki cięte do dywanika ryc. 11.

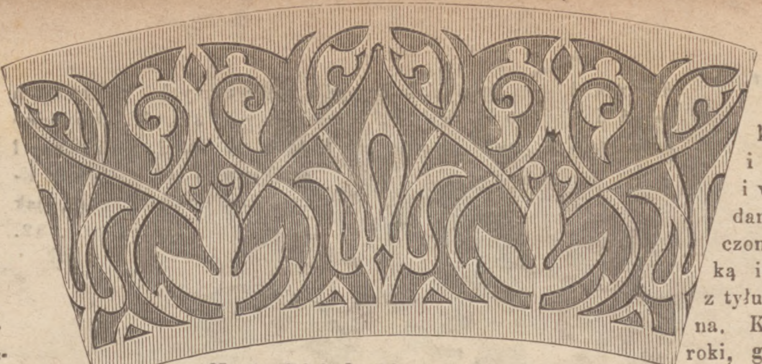


N. 14. Lewa strona robory dywanika, ryc. 11.



N. 16. Szlak. Haft peruwiański ściegiem gobelinowym na płótnie kanwowem.

bieskim. Na r. 27 w N-rze 8, dajemy znacznie powiększoną próbkę takiego haftu, pod któren daje się gęsto podsnute podłożenie, a haft płaski robi się ściegami skośnemi. W monogramie ryc. 5, jedna litera obwiedziona jest ściegiem sznureczkowym, bawełną pensową, a środek zapełniają drobne supełki niebieskie i czerwone. Druga wypukła litera haftowana jest bawełną białą, ściegiem okręcanym na igłę, zwanym „point de minute“, na gęsto przesnutem podłożeniu; próbkę powiększoną tej roboty, dajemy na rycinie 27 w N-rze 8.



N. 20. Szlak do talerza, r. 19.



N. 17. Fartuszek dla dziecka.

N. 9—10. Dwie sukienki dla dziewczynek lat 8—10.

N. 9. Sukienka z bluzką.

Odrobiona z beżu żółtawo piaskowego i naszyta sutaszem takiegoż koloru; bluzka zrobiona na gładkiej, do figury dopasowanej podszewce, była gęsto przemarszczana na karczek 10 cent. szeroki. Na wcięciu w pasie podszywa się listewkę i nawłóczy tasiemkę do przymarszczenia i przywiązania bluzki pod paskiem od spódnicy. Przody zapięte na małe kulkowe guziczki. Spódniczka 64 c. długa a 150 cent. szeroka, ogarnirowana czterema 9 c. szerokiemi wolantami, przemarszczanemi na 2 i pół cent. szerokości, w górze wązkim nagłówkiem zakończonemi. Pasek ze wstążki lub tego co sukienka materyału, zapięty z tyłu pod kokardą z długiemi końcami.



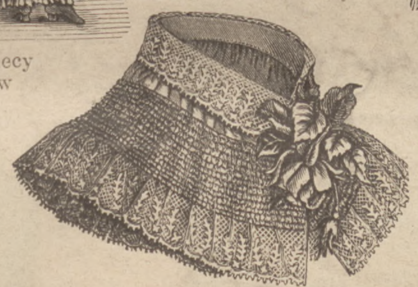
N. 23. Plecy do r. 6 w N-rze 8.



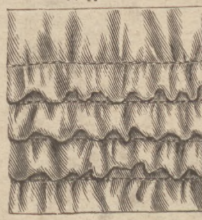
N. 21. Torebka na szczotkę.



N. 19. Talerz metalowy zdobny wypalaniem serwaserem.



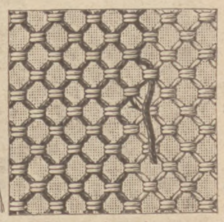
N. 25. Kołnierzyk z zakładkami marszczonemi. Patrz r. 26.



N. 26. Część zakładek marszczonych do r. 25.



N. 28. Ręcznik ze szlakiem i frendzlą. Patrz ryc. 29 i 30.



N. 29. Wyszycie ściegu siatkowego do r. 28.

N. 10. Sukienka z przemarszczanym plastronem. Krój podług ryc. 7 w N. 40 z r. przeszłego.

Sukienka luźna formą princesse, odrobiona z popielatego beżu, ubrana była atłasem w pasy, koloru czerwonawo-bronzowego. Spódniczka 30 cent. długa, ułożona w fałdy 2 i pół cent. szerokie, wchodzi do połowy długości pod sukienkę zrobioną na gładkiej podszewce, a mającą wstawioną w przody i plecy część naprzemian szeroko przemarszczaną i w drobne fałdki układaną, z przodu zakończoną bufą 8 cent. szeroką i falbanką plisowaną; z tyłu bufę zastępuje falbana. Karczek 14 cent. szeroki, gęsto przemarszczany, daje się oddzielnie, oszyty u dołu wypustką atłasową ze sznureczkiem, a koło szyi ogarnirowany riuszą 2 i pół cent. szeroką. Z boków części wstawione, zakończone są plisami 3 i pół cent. szerokiemi objętemi atłasem. Plecy zapięte na małe metalowe guziczki. Garnirunek rękawów 9 cent. szeroki, stanowią dwie falbanki 3 cent. i plisa tyleż szeroka, w jednym końcu spiczasto ścięta i guzikiem przymocowana. Na ramieniu kokarda ze wstążki w atłasie, 5 i pół c. szerokiej.



N. 18. Fartuszek stębnowany w zakładki.



N. 22. Woreczek pompadour.



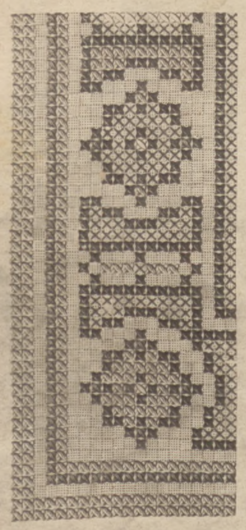
N. 24. Plecy do r. 4 w N. 8.



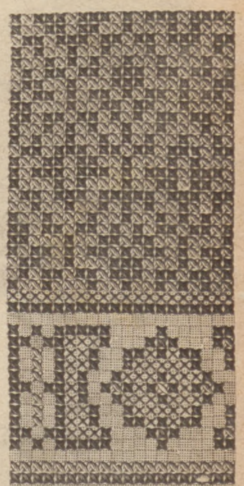
N. 27. Kołnierz z przemarszczeniem.

N. 11—15 i ryc. 31—32. Dywan robiony na drutach. Naśladowanie dywanów Smyrneńskich.

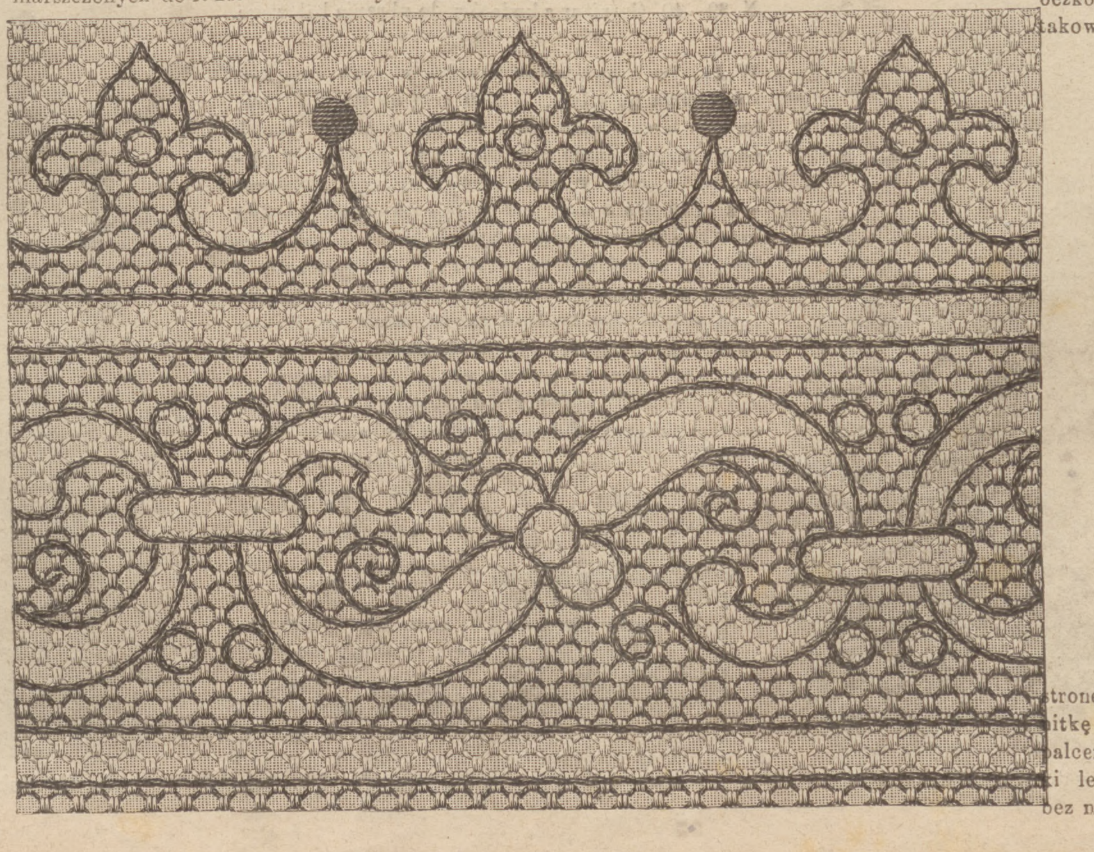
Powierzchnię dywanika stanowią krótkie, równo cięte nitki włóczki kastorowej, wrabiane w robotę na drutach. Tło robi się na grubych drutach stalowych, gładko tam i napowrót, z bawełny grubej niebielone; w rzędach idących do lewej ręki wrabiają się przy każdem oczku 3 c. długie kawałki włóczki, w ten sposób, żeby oczko obejmowały a końce obadwa na prawą stronę przechodziły. Ryc. 13 przedstawia próbkę takiej roboty, w której jeden koniec niteczki wkłada się pomiędzy zrobione i mające się robić oczko, drugi dopiero po zrobieniu takowego przekłada się na prawą stronę, przykłada przy nim nową nitkę i przytrzymuje obie razem palcem. Rząd następny idący od ręki lewej do prawej robić gładko bez nitek. Chcąc otrzymać nitki ró-



N. 31. Deseń szlaczku do ryc. 11.



N. 32. Deseń tła do r. 11.



N. 30. Szlak do ręcznika ryc. 28.



N. 33. Koronka z torsadki na widełkach i roboty szydełkowej.

wne trzeba włóczkę nawijać na pręcik kwadratowy $^3/_4$ c. szeroki mający z jednej strony dość głęboki rowek, w który następnie wkłada się nożyczki i nitki przecina. Dla ułatwienia roboty dywanik składa się z oddzielnie robionych, nie zbyt szerokich pasów, w których pierwsze oko zdejmuje się, a przy ostatnim nie zakłada się włóczki; następnie pasy zeszywa się z lewej strony, zajmując całe oczka zdejmowane. Za model do ryc. 11 służył nam prawdziwy smyrneński dywanik, mający szlaki kolorowe a tło w dwóch cieniach bordo. Deseń robi się podług wzoru do roboty krzyżowej, licząc dwie nitki w szerz i dwie w zdłuż na jeden krzyżyk. Model dywanika mającego 72 c. szerokości a 128 długości, składał się z 8 pasów każden robiony na 42 ocz. szerokości,



N. 35. Negliżyk jedwabny.

dwa z nich stanowiły szlaki brzegów poprzecznych, do których deseń liczący 20 krzyżyków, dajemy na ryc. 31. Tło środkowe zajmowało 6 pasów, z których każden zaczynał się i kończył szlakiem a na szerokość liczył dwa kwadraciki tła, jak to widzimy na próbce r. 32.



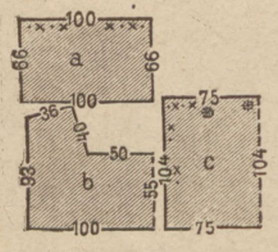
N. 37. Ubranie wizytowe dla młodej mężatki. Patrz ryc. 21 w N-rze 8.

N. 38. Ubranie balowe.



N. 39—40. Garnitur z kwiatów, do ubrania balowego.

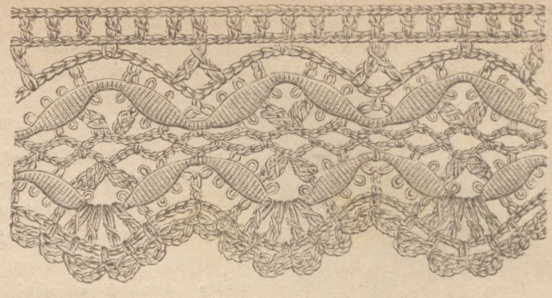
W każdym z tych pasów obrabia się 40 razy tam i napowrót na szlaki, a 100 razy na tło. Potrzebujemy jeszcze nadmienić że po zrobieniu trzech pasów tła, w trzech następnych, szlaki dolne i górne trzeba robić w odwrotnym kierunku, ponieważ w środku deseń musi być trochę zmieniony, a dwa kwadraciki szlaku muszą być złączone w jedną całość, jak to widzimy na ryc. 11. Po wykończeniu pasów przycina się końce nitek włóczkowych, dużemi nożyczkami zupełnie równa, ażeby całość stanowiła powierzchnię plusz naśladującą, jak na ryc. 15. Ryc. 14 przedstawia próbkę roboty z lewej strony. Po wykończeniu podszywa się dywanik szarem płótnem, a brzegi oszywa się grubym sznurem wełnianym.



N. 41. Krój draperyi do sukni ryc. 3.

N. 17. Fartuszek dziecinny. Krój podług ryc. 13 w N. 28 z roku 1882.

Fartuszek z deseniowej piki miał 36 cent. długości, a gładkie z boków kliniasto ścięte plecy 12 cent. górnej,



N. 34. Koronka szydełkowa z torsadką medaljonową.

a 20 dolnej szerokości; do przodów podług powyższej formy dopasowanej, dodaje się w środku materyału, na 4 kontrafałdy 3 cent. szerokie. Górny wykrój zdobią trzy jedna na drugą zachodzące, 4 cent. szerokie haftowane falbanki, na ramionach zwężone i wązki szlaczek do góry obrócony. Do dołu dodany wolant 13 c. szeroki a 126 długi, w kontrafałdy ułożony, w górze z przodu dwoma odwróconemi falbankami, z z tyłu pliską zakończony. Nad falbaną, między szwy boczne, wszywa się szarfy batystowe 6 cent. szerokie, z tyłu związane. Na ramieniu kokarda z kolorowej, atłasowej wstążki.

(*D. n*)



N. 36. Negliżyk z koronki i wstążki.



N. 42. Ubranie wieczorowe bogato przybrane koronką.



N. 43. Suknia wizytowa zdobna haftem z perełek.